

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



DANIEL OLBRYCHSKI

**WSPOMINKI
O WŁODZIMIERZU
WYSOCKIM**

Tower Press 2000
Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

OD AUTORA

Dlaczego aktor bierze się do pisania?

Bo nie ma już co grać? Akurat ja mam jeszcze parę ról do zagrania.

Bo chce zostawić po sobie jakiś ślad – barwny, osobisty, nie utkany z cudzych tekstów?

Też nie to. Wziąłbym się raczej za tzw. płynięcie pod prąd własnego życia. Może się jeszcze kiedyś do tego zabiorę, ale chyba jeszcze nie jutro, na pewno nie jutro.

Dlaczego zatem napisałem tę książeczkę?

Otóż w wielu wywiadach prasowych, radiowych i telewizyjnych sporo mówiłem o Włodzimierzu Wysockim. Reakcje słuchaczy i czytelników uświadomiły mi, że nie powinienem tego, co o nim wiem, co z nim przeżyłem, zatrzymać tylko dla siebie.

Byłeś, Wołodia, własnością wszystkich i oni, wierzę, chcieliby przeczytać również taką książkę o Tobie.

Dlaczego *Wspominki*?

Co to są wspominki?

W prawosławiu, kiedy umiera człowiek, po pogrzebie jest stypa. A dziewiąty i czterdziesty dzień po śmierci świętuje się wspominkami. To stary rosyjski obyczaj.

Brałem udział w takich wspominkach po śmierci Włodzimierza Wysockiego.

Dzień dziewiąty świętowałem w Paryżu, z siostrami Poliakoff: Mariną Vlady, Olgą i Héléne. Po mszy w cerkwi poszliśmy do przedziwnego mieszkania przedziwnego malarza, emigranta epoki breżniewowskiej Miszy Szemiakina, przyjaciela Wołodi. Stary, ogromny apartament paryski, naprzeciw Luwru. Przesycony atmosferą i zapachem chyba starej Rosji, który kojarzę z mieszkaniami moich przyjaciół w Moskwie i Leningradzie. Zresztą, gdziekolwiek spotykałem, nawet najświeższej daty, emigrantów rosyjskiej bohemy, wszędzie tam czułem ten sam klimat, to samo światło. Jak z XIX-wiecznych obrazów rosyjskich. No i zapach. Może mebli i ikon, które albo ze sobą z kraju przytargali, albo natychmiast po przyjeździe znajdowali w paryskich, rzymskich czy izraelskich antykwariatach. U Szemiakinów nastroju dopełniały obrazy Miszy – na ścianach i sztalugach ślady jego twórczej gorączki i może jeszcze dziwniejszej malarsko jego młodzianki córki.

Ach, melancholia tych emigranckich mieszkań paryskich Rosjan. Sam to dobrze rozumiałem, tym lepiej, że pochodzę z obecnych kresów Rzeczypospolitej. Jak Wołodia znam tę groźną mieszkankę – czy ja wiem czego? – nostalgii, goryczy, poszukiwania tożsamości, absurdalnego poczucia winy: „*Oj, Dańka, Dańka, my s tobój w Pariże, czuwstwujem siebia kak objezjany ryżyje*”. Gdy mnie to dopadało, włóczyłem się po polskich knajpach. Kiedy nachodziło to Wołodię – znikał z Miszą Szemiakinem. Żeby tylko na trzydniówkę! A potem łzy Mariny, leczenie kaca przez tydzień. I tylko Cyganie w „*Rasputinie*” – jest taka knajpa w Paryżu – znowu bogatsi o oszczędności, które Wołodia miesiącami gromadził na jakiś samochód.

Misza też sporo popijał. Właśnie szykował się do wyjazdu na stałe do Nowego Jorku. Ja wracałem do Polski, gdzie wzbierała fala strajków. Nadciągała rewolucja sierpniowa. Pierwsze wspominki były ostatnim do dziś moim spotkaniem z Szemiakinem.

Jak nakazuje obyczaj, stół zastawiony był ulubionymi potrawami zmarłego. Łosoś, śledzik, kawior, świeże ogóreczki – wszystko z najlepszych amerykańskich sklepów w Paryżu. Na gorąco wyborowy barszcz ukraiński, którego smak pamiętam do dzisiaj, no i boeuf Strogonoff z kaszą gryczaną. Wreszcie – wódeczka. Moskowskaja, stolicznaja, obrośnięte grubą warstwą lodu.

Na stole chaos, Szemiakinowowie to bałaganarze. Oprócz nich, Mariny i jej sióstr byli także Piet'ka, syn Mariny, wówczas osiemnastolatek, gitarzysta Wysockiego Kostia Kazanski i ja z Zuzanną. Pośrodku stołu gospodarze zostawili puste nakrycie, przy nim pusty fotel. Na ścianie gitara i zdjęcie Zmarłego. Zadbawszy by nie brakowało świeżej wódeczki wspominaliśmy tylko nasze zabawne przeżycia z Wołodią, bo smutku by, broń Boże, nie zniósł. Nie płakaliśmy, bośmy się wcześniej spłakali w cerkwi, gdzie ubrany na czarno skacowany – tu go rozumiałem – Szemiakin szlochał w głos, czym nie zakłócał nadmiernie powagi ceremonii, ponieważ zagłuszały go przepiękne gregoriańskie chóry. Każdy z nas zresztą gdzieś tam chlipał po cichu.

Dlaczego *Wspominki*? Ponieważ to moje pisanie to też swego rodzaju wspominki o zmarłym przyjacielu. Człowieku, z którym przyjaźniłem się kilkanaście lat, wielokrotnie się z nim spotykałem, słuchałem go i kochałem. Właściwie powinienem podziękować Losowi, że pozwolił mi zostać aktorem, że dał mi szansę odnieść niejaki sukcesy, zwiedzić świat i poznać niezwykłych ludzi. Wśród nich postacią może najbardziej fascynującą był Włodzimierz Wysocki.

Wspominki drugie, czterdziestego dnia po śmierci Wołodi miały się odbyć w Moskwie. Obiecałem Marinie, że na pewno przyjadę, gdziekolwiek bym był. Drugiego września byłem w Warszawie. W moim kraju po podpisaniu Porozumień Gdańskich zapanowała gorączkowa atmosfera radości i trwogi: wejdą, nie wejdą?

A ja wybierałem się na jedną noc do Moskwy...

Poznałem go w roku 1969. Byłem wtedy po raz pierwszy na festiwalu filmowym w Moskwie, na który pojechałem z *Panem Wołodyjowskim*. Już wówczas słyszałem o Wysockim, otarłem się o jego legendę. W Polsce znaliśmy kilka jego piosenek. Niektóre z nich śpiewaliśmy z przyjaciółmi, ot tak, za stołem, przy kieliszku, często nie wiedząc, kto jest ich autorem. Jednej z nich nauczyła mnie żona Jerzego Hoffmana – Walka.

Nie piłem nic przez całą noc
patrzyłem w nią jak sroka w kość
jak smarkacz jaki
jak smarkacz jaki
Lecz ten, co przedtem chodził z nią
chciał, żebym nogi za pas wziął:
nie szukaj draki!
nie szukaj draki!

I ten, co przedtem była z nim
wyzywał mnie jak sukinsyn
a ja pamiętam,
ja byłem trzeźwy
A kiedy chciałem iść już precz
to ona na to: zostań, siedź
jest jeszcze wcześniej
jest jeszcze wcześniej

Lecz ten, co przedtem z nią się kładł
on nie zapomniał mnie, ten gad
pod jesień było
pod jesień było
Idę z koleżką, niech to szlag
milcząco ośmiu czeka tak
aż mnie zemdliło
aż mnie zemdliło

Jakoś przy sobie miałem nóż,
tak łatwo wam nie pójdzie już
ja tak się nie dam
ja tak się nie dam
A co się będę gadów bać
mam tutaj jak ten palant stać?
tak było trzeba
tak było trzeba

Lecz ten, co przedtem chodził z nią
on nie na żarty sprawę wziął
nawarzył piwa
nawarzył piwa
Ktoś mnie od tyłu trzasnął w kark
Walucha krzyknął: „Jezus Mar...”

i już odpływam
i już odpływam

Za osiem ran więzienie mam
i w lazarecie leżę sam
tu dogorywam
tu dogorywam
Więzienny doktor kraje mnie
i mówi: „Bracie, trzymaj się”
no to się trzymam
no to się trzymam

Rozłąki doba szybko mknie
ona nie doczekała mnie
lecz jej przebaczam,
jest taka słodka
Temu, co przedtem chodził z nią
co nie na żarty sprawę wziął
ja nie przebaczam
jeszcze mnie spotka

O tym, że jest to piosenka Wysockiego, nie miałem wtedy zielonego pojęcia. Ponieważ bardzo mi się podobała, poprosiłem Agnieszkę Osiecką, żeby mi ją przetłumaczyła. Kiedy zabierałem się do pisania tej książeczki, uświadomiłem sobie, że z jej przekładu pamiętam tylko jedną zwrotkę. Chyba dlatego, że zazwyczaj podśpiewywałem to sobie po rosyjsku. Po dwudziestu latach Agnieszka nie potrafiła odnaleźć tamtego tłumaczenia. Zrobiliśmy to wspólnie od nowa.

Piosenka z cyklu „błatnych”. To było moje pierwsze spotkanie z poezją Wysockiego.

Zaczynało do mnie docierać, kim on jest, co pisze, już zacząłem poznawać na zdartych magnetofonowych taśmach jego ochryply głos.

Wszyscyśmy wówczas słuchali tych pieśni, często nie rozumiejąc tekstu do końca. Ale nie to było najważniejsze. Język poetycki Wysockiego jest, moim zdaniem, dla nie-Rosjanina, trudniejszy niż język Okudźawy, bo w szkole – wiemy dobrze – nikt tak naprawdę nie uczy się żadnego języka obcego, a cóż dopiero języka, którego uczyć się nie wypada. Natomiast piosenki Bułata w latach sześćdziesiątych wszyscy znaliśmy na pamięć. Okazało się, że ten często źle widziany we własnym kraju poeta nakłonił tysiące młodych Polaków do zadania sobie trudu zrozumienia tego pięknego języka. Wysocki nie był wtedy jeszcze taki znany. Jego sława przyszła później, ale i wybuchła bardzo gwałtownie. Pieśni Wysockiego rozchodziły się z prędkością huraganu. Kopia nagranej w sobotę w prywatnym moskiewskim mieszkaniu taśmy, mocno zdarta i nieczytelna po wielokrotnym przegrywaniu, już w poniedziałek docierała do Władywostoku. A jakimś jeszcze dziwniejszym sposobem wkrótce trafiała do niektórych Polaków. Jednym z nich byłem ja. Toteż kiedy pierwszy raz spotkałem Wysockiego, miałem świadomość, że ocieram się o legendę.

A było to tak:

Siedziałem z moim tłumaczem w hotelu „Rossija”. Przydzielono mi go, mimo że dobrze mówiłem po rosyjsku, z nim zresztą również. Taki to był „tłumacz”! On wiedział, że ja wiem, kim on jest. Dziwne, ale wówczas ten rytuał KGB wydawał nam się czymś głęboko normalnym – przywykliśmy do niego. Wtedy było to tak dalece oczywiste, że nie dziwiło, a tylko śmieszyło – jak ta sławetna scena, która miała miejsce w jednym z moskiewskich hoteli. Chłopcy z pewnego polskiego zespołu muzycznego popili i postanowili porozmawiać

swobodnie. Uznali - słusznie czy nie – że w pokoju **musi** być mikrofon. Szparko zabrali się do poszukiwań. Pobieżne oględziny nie przyniosły jednak rezultatów. Zrolowali więc ogromny dywan leżący na środku – w rzeczy samej – komnaty¹. Jako żywo, pod dywanem tkwiło coś, co mogło wzburzonym umysłem przypominać akcesoria niezwykle wyszukanej aparatury podsłuchowej. Używając wszystkiego, co mieli pod ręką, z kluczem do strojenia gitary włącznie, żwawo zabrali się do demontażu. Kiedy wszystkie śruby zostały już wykręcone, rozległ się głuchy łomot, świadczący o znacznej wadze spadającego piętro niżej żyrandola. Ofiar w ludziach nie było.

No więc ten mój arcysympatyczny tłumacz powiada:

– *Smotri, kto tam idiot! Ty znajesz etogo czelowieka? Eto Wysockij!*

Przedstawił nas następująco:

– Daniel Olbrychski, polski aktor. Włodzimierz Wysocki – aktor, piosenkarz i w ogóle nasza legenda.

– *Oczeń prijatno* – powiedział Wysocki tym swoim szorstkim głosem, w rzeczywistości dużo cieplejszym niż ten, którym śpiewał swoje pieśni. I tak się rozeszliśmy. Mógł mieć około trzydziestki, ja ze dwadzieścia trzy. Trochę ode mnie niższy, ale niewiele.

Wysocki zniknął, a ja widzę, że mój tłumacz wyraźnie ma jeszcze coś **ważniejszego** do powiedzenia. Odciąga mnie na bok i mówi:

– *Daniel, Daniel, to, szto ja tiebie skazał, eto prawda, no eto nie samoje gławnoje. Prawda, szto on balladist, aktior, gitarist, nasz izwiestnyj poet, no eto jerunda (głupstwo)! On – i tu mój opiekun rozejrzał się w charakterystyczny sposób, tak wówczas zachowywali się Rosjanie, gdy chcieli powiedzieć coś nieprawomyślnego – *on jebiot Marinu Vlady!**

Uznał, że to jest najważniejsza wiadomość o Wysockim, którą należy mi koniecznie przekazać!

Nie przytaczam tego zdarzenia jako prostackiej anegdoty. Sama Marina lubi tę historię i często prosi, żebym opowiadał ją różnym znajomym. A jest w tym coś bardzo pięknego, coś decydującego o życiu i śmierci.

¹ *Komnata* (ros.) – pokój.

Kiedy Wysocki poznał Marinę Vlady, była ona w ZSRR gwiazdą absolutnie pierwszej wielkości. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, obok Brigitte Bardot, była bodajże najslynniejszą, młodą gwiazdą Europy. Dodajmy do tego jej czysto rosyjski rodowód, a okaże się, że miłości Rosjan nie sposób się dziwić. Jej ojciec, Władimir Polakow, lotnik, w przededniu I wojny światowej wyjechał do Francji po odbiór samolotów dla armii rosyjskiej. Wojna zastała go w Paryżu. Dramatyczne wieści z Rosji, rewolucja, wojna domowa, rządy bolszewików skłoniły go do pozostania we Francji. Tam też urodziły się córki. Pseudonim artystyczny Mariny jest skrótem imienia ojca.

Pierwsze spotkanie Mariny i Wołodi – opowiadali mi po latach – wyglądało tak: ją zaprowadzono do Teatru na Tagance. On grał tam jedną z głównych ról w sztuce o Pugaczowie, w reżyserii Jurija Lubimowa. Marina natychmiast uległa ogromnej fascynacji aktorstwem i osobowością Wysockiego. Potem była kolacja w Domu Aktora. Mogę sobie wyobrazić, gdyż nieraz tam bywałem – ten gorący nastrój, gdy rosyjscy koledzy podejmują gości. Nieporównywalna serdeczność, gest szeroki, gdy się porówna bajońskie rachunki ze stawkami, które najwybitniejsi aktorzy do dziś tam zarabiają, przysiadanie się do stolików, zawsze poprzedzone wysłaniem za pośrednictwem kelnera butelki szampana... Tak to musiało wyglądać, gdy naprzeciwko Mariny Vlady usiadł Włodzimierz Wysocki.

Opowiadałaś mi, że w porównaniu ze scenicznym bohaterem wydał Ci się dużo drobniejszy, niższy, zmęczony. I, pamiętasz, Marinko, tylko te szare oczy wpatrywały się w Ciebie z niesłychaną siłą.

W tym zadymionym, rozgorączkowanym, rozbawionym lokalu nastąpiło najpiękniejsze, głębokie wyznanie miłosne: że czekał na to spotkanie, że od chwili, gdy pierwszy raz zobaczył w filmie... że jeśli spotka, to będzie to kobieta jego życia... że kocha. I tak to się zaczęło.

Wydaje mi się, że gdyby nie Marina i miłość do niej, Wołodia mógłby nam wcześniej odejść z tego świata. Dzięki tej miłości zwalniał czasami obłąkańcze tempo życia i może dzięki temu przeżył więcej lat, niż było mu to pierwotnie pisane. Kiedy się poznali, był już człowiekiem bardzo chorym. To właśnie ona, Marina, dawała mu siłę, motywację, chęć do śpiewania, kochania. Po prostu – do życia.

LINOSKOCZEK

Nie wyróżniał go wzrost ni tytuły,
Nie dla forsy, nie dla szpanu –
Dla sportu czy z pasji do gier
Szedł przez życie pod samą kopułą,
Szedł po linie rozedrganej,
Napiętej ostro jak nerw.

Spójrzcie tylko, to on, i nie chroni go sieć,
W lewo krok, głupi błąd – runie w dół, pewna śmierć,
W prawo krok, jeden skłon – lina cienka jak włos,
Lecz on musi, on chce, wciąż wyzywa swój los,
Koniecznie chce do końca dojść!
Reflektory razily go blaskiem
Tak jaskrawym jak blask sławy,
Jak wawrzyn wrzynały się w skroń,
W uszach dudnił huragan oklasków,

A okrzykom: „Brawo! Brawo!”
Wtórował chrapliwy wrzask trąb.

Spójrzcie tylko, to on, i nie chroni go sieć,
W lewo krok, głupi błąd – runie w dół, pewna śmierć,
W prawo krok, jeden skłon – nie pomoże mu nic,
Lecz spokojnie, on wie, dobrze wie, jak ma iść,
Ćwierć trasy przeszedł już, to mistrz!

Ach, jak miło, jak śmiało, jak ślicznie!
Bój ze śmiercią. Trzy minuty!
Orkiestra gra tusz. Morze głów.
Nisko w dole zamarła publiczność;
Liliputy, liliputy –
Pomyślał, gdy miał ich u stóp.

Spójrzcie tylko, to on, i nie chroni go sieć,
W lewo krok, głupi błąd – runie w dół, pewna śmierć!
W prawo krok, jeden skłon – nie pomoże mu nic,
Lecz spokojnie, on wie, dobrze wie, jak ma iść,
Pół drogi przeszedł już, to mistrz!

Drwił ze sławy, za grosz w nią nie wierzył,
Chciał być pierwszy, nie mógł przegrać,
I co zrobić z takim jak on?
Nie po linie w cyrkowym numerze –
Szedł po nerwach, szedł po nerwach
W łaskocie oklasków i trąb!

Spójrzcie tylko, to on, i nie chroni go sieć,
W lewo krok, głupi błąd – runie w dół, pewna śmierć,
W prawo krok, jeden skłon – nie pomoże mu nic,
Lecz spokojnie, on wie, dobrze wie, jak ma iść,
Trzy czwarte przeszedł już, to mistrz!

Krzyknął głośno pogromca. Zwierzęta
Przytuliły się do noszy.
Lecz życia nie wróci mu nikt.
Lina była za bardzo napięta,
W piach areny, w warstwę trocin
Krew przelał, upadek i wstyd.

I już drugi się pcha, i nie chroni go sieć,
Lina tańczy i drga, jeden błąd – pewna śmierć,
Jeden krok, jeden błąd - lina cienka jak włos,
Lecz on musi, on chce sprowokować swój los,
Jak tamten chce do końca dojść!

To jest piosenka Wołodi o sobie. Ale o kimś w niej zapomniał. O Marinie. To dobrze, że bywają kobiety, które chodzą pod linami, na których balansują ich wybrani mężczyźni. Ci

ostatni robią to czasami z determinacją Wołodi, nieraz z mądrością i uporem Pana Cogito z *Posłania* Herberta, czasem z wdziękiem, szaleństwem, samozatraceniem, głupotą – zawsze z talentem. Są kobiety, które czuwają, przesyłają najlepsze fluidy, gotowe są nawet służyć jako siatka bezpieczeństwa. Ale to jest wyczerpujące, bywa nieludzkie i na dłuższą metę nie ma sensu. W końcu prężne ciała linoskoków i tak walą się w dół, a kobiety, by nie zginąć, muszą zejść z linii spadania. Bo ich „ptakom podobni” wybrańcy mają łatwość wzbijania się, ale też siła grawitacji przyciąga ich o wiele, wiele mocniej.

Teraz, po lekturze książki Mariny, wiem, że ten pierwszy uścisk dłoni, jaki wymieniłem z Wysockim w „Rossii”, miał miejsce na krótko przed zdarzeniem, które pierwszy raz zawiodło go w okolice śmierci. Wołodia spieszył się do czekającego przed hotelem autokaru, który miał zawieźć gwiazdy moskiewskiego festiwalu na jakieś oficjalne przyjęcie. Siedziała w nim już Marina Vlady. Wołodia wszedł do autokaru, nie zważając na to, że żywa legenda swego kraju, dla pryncypialnego kierowcy wciąż pozostaje tylko Rosjaninem. A autokar był dla „inostrąców”...

Na oczach Mariny i wszystkich gości został brutalnie z autokaru wyproszony. Przez okno Marina obserwowała, jak z wściekłością kopie jakieś pudełko i upokorzony, znika gdzieś za rogiem.

Po przyjęciu, czytając dalej w książce Mariny, goście udali się do prywatnego mieszkania jednego z aktorów, znajomego Wołodi. On sam pojawił się tam po północy, kompletnie pijany. W ten sposób odreagował tamto zajście. Rozegrał się dramat. Wysocki zaczął wymiotować krwią. Wezwano pogotowie. Lekarz stwierdził, że ten człowiek kona, i nie chcąc mieć kłopotów ze statystyką odmówił zabrania go do szpitala.

To prawie pewne, że wtedy Marina Vlady po raz pierwszy uratował mu życie. Z furią kobiety walczącej o ukochanego zmusiła pielęgniarki do zabrania Wołodi. W szpitalu opiekowano się nim wspaniale. Reanimacja, operacja (pęknięcie naczynia krwionośnego w krtani) i bardzo długa rehabilitacja. Po wielu, wielu dniach zaczął powoli dochodzić do siebie, a nawet podśpiewywać chorem i personelowi szpitala.

Wiktor Woroszyński użył gdzieś określenia „ludzie napiętej struny”. W rzeczy samej... Wołodia pewnie przystałby na tę nazwę. Jak wielu wielkich artystów i on miał w sobie jakiś instynkt samozniszczenia. Długo czas nie zdawałem sobie sprawy z nałogów Wysockiego. Nie widziałem, Marina wie, że to prawda, nie widziałem go nigdy pijanego. Na początku naszej znajomości wierzyłem, że definitywnie przestał pić. Oboje trzymali mnie w błogim przeświadczeniu, że „ani kropli alkoholu. Może kiedyś, Marinko, gdy skończymy czterdzieści lat, będziemy starzy, napijemy się odrobinę czerwonego wina nad Morzem Czarnym”. Dopiero z książki Mariny dowiedziałem się o ich dramacie.

Bodaj w 1974 roku kolega opowiedział mi, że widział w Wilnie śmiertelnie pijanego Wysockiego. Dzwonię do Wołodi do Moskwy i powtarzam, co usłyszałem. Spokojnie spytał:

– *Kto тебе об этом сказал?*

– Mój przyjaciel – mówię.

– *Znacit, on nie-prijatelj.*

Wydaje mi się, że ani jeden, ani drugi nie kłamał. Teraz dopiero wiem, że Wołodia na pewno tam się zapił. Nie chciał się przyznać, był pewnie zażenowany. Wybrnął z tego, tłumacząc mi, że plotkarz nie może być prawdziwym przyjacielem. Wtedy uwierzyłem – byłem bodaj czy nie jedynym człowiekiem, który święcie wierzył w abstynencję Wysockiego. Wołodia nie chciał tego człowieka stracić. Cieszę się, że tak mu zależało właśnie na mojej wierze w jego siłę.

Zdarzenie, które teraz opowiem, nie mogło tej wiary nie osłabić.

Było to w Paryżu, niedaleko Duroc. Przychodzę, Marina daje mi znaki, żebym po cichu wszedł do sypialni Wołodi. Wchodzę, widzę zafascynowanego przyjaciela, który w bezruchu ogląda film. To Fellini, *Trzy kroki w szaleństwo*. Fabuły opowiadać nie należy, bo jej, jak zwykle u tego reżysera, nie ma. Gwiazdor przyjeżdża na zdjęcia filmowe do Rzymu. Młody, sławny, bogaty, a mimo to wciąż gdzieś ucieka – jest i narkomanem, i alkoholikiem. Zamiast pójść na plan, wsiada do sportowego samochodu i bardzo szybko jedzie. Tu następuje kalejdoskop obrazów.

Nigdy nie używałem narkotyków, więc nie znam wywoływanych przez nie wizji. Podobno są bajecznie kolorowe. Na ekranie podczas szaleńczej jazdy bohatera zmieniały się kolory i światła. Wreszcie wpadł on w jakiś nie kończący się tunel. Przyznam, że nie bardzo mnie to interesowało. Zresztą, nie oglądałem filmu od początku. W pewnym momencie zacząłem obserwować wyłącznie Wysockiego. A on patrzył w ekran jak królik zahipnotyzowany przez zmiję. Jakby przyglądał się czemuś strasznemu i pociągającemu zarazem. Otworzyły się drzwi i Marina powiedziała: „Herbata czeka”. Wysocki podniósł się ciężko i ujrawszy mnie powiedział: „*Bratok, eto nasza sud'ba*”.

Herbata była ze wspaniałymi konfiturami.

To był dla mnie pierwszy sygnał, który wtedy zlekceważyłem. Potem przyszły następne, aż wreszcie nadszedł moment, kiedy już nie można było udawać. Paryż. Koniec lat siedemdziesiątych. Wołodia ma dać trzy recitale na Montmartrze. Rano, w dniu pierwszego koncertu, zaszedłem do ich mieszkania przy Duroc. Otworzyła Marina. Błada, zapłakana. Poczulem charakterystyczny zapach lekarstw. Z sypialni dobiegł mnie głos, który przypominał Wołodię parodiującego alkoholików w swoich piosenkach. Wszedł stamtąd człowiek. Już rozumiem, lekarz. Mówi coś Marinie o esperalu. Rozumiem słowa, nie pojmuję sensu. Powoli zaczyna do mnie docierać. Stało się. Była wielodniówka. Marina już nic nie udaje. Wchodzimy do Wołodi. Leży, bladozielony, zlany potem. Takim widziałem go po *Hamlecie* w Warszawie. Usiłuje coś powiedzieć, ale nie jest w stanie wyartykułować słów.

Mięśnie warg, struny głosowe i krtąń, jego legendarny głos – ta „trójka koni”, latający dywan, rakietna ziemia–powietrze – nie funkcjonują. A wieczorem koncert! Bilety sprzedane!

Dał sobie radę... Jeszcze raz. Ale za jaką cenę...

Byłem, widziałem. Marina, stojąc w głębi sceny, za ansamblem, streszcza publiczności pieśni, które Wołodia ma zaśpiewać. Ja i jej syn Piet'ka wiemy, że tego dnia Marina jest bardziej zdenerwowana niż wzruszona. My dwaj także.

Potem kolacja u jej siostry. Odile, rue l'Université, pałacyk w samym sercu miasta. Odile to Tania, jedna z *Trzech sióstr* w słynnej paryskiej inscenizacji dramatu Czechowa. Odile, piękna, cudowna Odile umrze na raka na miesiąc przed Wołodią.

Skromna kolacja w skromnym pałacyku. Wołodia nie pije, je mało. Jest bardzo zmęczony. Ośmielam się poruszyć **ten** temat. Mówię, wydaje mi się, coś ważnego: „Słuchaj, tak nie można, nie wolno ci. Nie należysz tylko do siebie, jesteś nie tylko własnością Rosji, jesteś skarbem Słowiańszczyzny. Ja, Polak, nie chcę, nie pozwolę, abyś się unicestwił”. Sam poczułem, że jestem lekko pijany. Wołodia siedzi trzeźwy, patrzy na mnie z politowaniem, a ja coś bełkocę przez łyż. Może szlachetnie, ale głupio. Widzę, że nie bardzo mnie słucha. Zaczynam z innej beczki: „Słuchaj, źle to wymyśliłeś. Twój ukochany Puszkina, Lermontow... z pistoletem w dłoni... to w porządku! Jesienin, Majakowski... samobójstwo. Bardzo młodzi, wciąż romantyczna legenda. Ty jesteś na to za stary. Wypada ci się godnie i mądrze zestarzeć, jak Tołstoj, a nie wygłupiać i zapić na śmierć”. Wołodia lekko się uśmiechnął i popatrzył na mnie nieobecny wzrokiem.

Minęły lata. Wiem już. Nie miał skłonności samobójczych. Napięta struna nie na tym polega, by się brawurowo uśmiercić, lecz na tym, że się na chwilę, w twórczych i ekscytujących momentach życia, zapomina o istnieniu śmierci. Zapomnieć o niej, to tak jakby otrzymać wprost z nieba potężną dawkę odwagi i energii życiowej.

Okudźawie wystarczyło ledwie kilka słów, by odmalować Wysockiego w szalonym pędzie życia, z jego zdrową, szczeniacką głupotą. Niedawno poprosiłem Bułata:

– Piszę wspomnienia. Powiedz mi, kochany, coś o Wołodi.

Wiem, że nie lubi, kiedy go pytają o Wysockiego, ale na mnie chyba się nie obraził. Wie dobrze, jak i ja, że w życiu żywi zawsze mają rację przed zmarłymi, w poezji, w sztuce jest odwrotnie. Popatrzył na mnie, jak to on:

– Wiesz – powiedział – myśmy się mało znali. On lubił kompanię, lubił wypić. Ja piję mało, lubię być sam... Ostatni raz widziałem Wołodię w połowie lipca 1980. Jadę sobie Prospektem Gorkiego. Ktoś pędzi. Patrząc, mija mnie Wołodia w swoim mercedesie, uśmiecha się. Pomachał mi, wyprzedził i zniknął. *Wot...* – A potem – ciągnął Bułat – pojechaliśmy z Olgą na wycieczkę statkiem po Morzu Czarnym. Dostaliśmy tę samą kabinę, którą nieco wcześniej zajmował Wołodia z Mariną. I tam, w tej kabinie, z radia dowiedzieliśmy się, że zmarł. *Wot...*

Tyle mi powiedział poeta o poecie! To mi wystarczyło. Niczego w tej wypowiedzi nie chcę upiększać. Bułat wie, co mówi, i ma wycucie frazy. Gwoli wyjaśnienia chciałbym dodać, iż wielki Bułat, artysta przecież o zupełnie innym temperamencie niż Wysocki, cenił swego młodszego kolegę i za życia przysporzył mu wiele dobrego. A wtedy, żeby publicznie mówić o nim dobrze, trzeba było mieć nie tylko gust, ale i odwagę.

Wołodia dość późno zaczął podróżować i koncertować po świecie. Właśnie te wyjazdy pozwalały mu nabrać oddechu, pozwalały mu zatęsknić, choćby i za tym, czego w swojej ojczyźnie nienawidził. Bo można tęsknić do tego, czego się w sobie lub we własnym kraju nienawidzi. Niektórzy twórcy bez takiej stymulacji giną. Może jest to walka z odradzającymi się raz po raz hydrami, a może z wiatrakami. Ale musi trwać.

Podróże zagraniczne Wysockiego stały się możliwe dopiero po wizycie prezydenta Francji Pompidou w ZSRR. Marina uprosiła kogo trzeba – dramatycznie opisuje to w swojej książce – by jej mężowi zezwolono wyjeżdżać za granicę. Odtąd Wołodia często jeździł do Paryża, do Mariny...

Podobnie jak ja, nie lubił latać samolotem. Bardzo natomiast lubił prowadzić samochód. Jak wiadomo, droga z Moskwy do Paryża wiedzie przez nasz kraj. Wołodia bardzo lubił Polskę. Więcej niż lubił. Jego miłość do Polski miała w sobie coś z głębokiej fascynacji, podziwu. Wiem na pewno, że nie była to kurtuazja. Wielbiciele Wysockiego znają ankietę, którą wypełniał jeszcze jako bardzo młody człowiek. Na pytanie, który kraj najbardziej lubi – rzecz jasna poza Rosją, umiłowaną ojczyzną – bez wahania odpowiedział: POLSKĘ. Z kompozytorów najbliższy był mu Chopin.

Wiesz, Marinko, uważny słuchacz odnajdzie w jego pieśniach sporo zamierzonych polonizmów i poloniców. Opowiadałaś mi, jak to było, gdy Wołodia pierwszy raz przyjechał do Warszawy...

Mieli na dzień czy dwa zatrzymać się u mnie i jechać dalej. Troszkę się spóźnili, ponieważ zabłądzili. Przypadkiem dojechali do mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Mieli przekroczyć Wisłę w miejscu, z którego rozpościera się najpiękniejszy widok na Stare Miasto. Wołodia zatrzymał się, wysiadł z samochodu, zszedł na dół, na plażę. Bardzo długo patrzył na Starówkę...

Dużo wiedział o Powstaniu Warszawskim, znał jego tragiczne losy. Słyszał, że na rozkaz Stalina ofensywa została wstrzymana, po to, by powstanie wykrwawiło się, by poległ ci, którzy chcieli powiedzieć światu: „Oswobodziliśmy własną stolicę, mamy prawo decydować o losach naszego kraju”. Kiedyś Wołodia powiedział mi z naiwnością dziecka: „Wiem wszystko, nawet o pakcie Ribbentrop-Mołotow...”

Długo patrzył na Stare Miasto i na kawałku papieru zaczął coś notować, tam, na plaży. Kiedy dotarł do mnie – mieszkałem wtedy na Dragonów, tuż przy Łazienkach – już od progu oznajmił: „Zacząłem pisać piosenkę”.

DZIENNIK PODRÓŻY cz. II

Ech, te drogi wąskie,
Zygzakiem, na skos!
Dziurawe tysiące
Białoruskich wiorst!
Jadę, klnąc pod nosem
Na kolejny dół
Ku niemieckim szosom,
Równiutkim jak stół.

Tam autostrady ponoć trzypasmowe,
bez tablic „Achtung!” „Halt” czy „Haende hoch!”
Zobaczę, sprawdzę – wrócę, to opowiem;
Będę tam wachać kwiatki, a nie proch.

Auto maską kruszy
Przedwieczorne mgły,
W legowisku duszy
Wilk wyszczerza kły,
Piszczą kręgi opon,
Skowyczą swą pieśń –
Wilk podwija ogon
Przy tabliczce „Brześć”.

Tam, na granicy, stanę i odetchnę,
Pokażę paszport i stempelki wiz,
I żołnierz na mój widok się uśmiechnie,
I szlaban w pozdrowieniu wzniesie wzwyż.

Jeszcze parę pytań
Ma do mnie Kraj Rad,
I ruszam z kopyta
W nieznany mi świat,
Jeszcze prosi celnik
O autograf – i
Tyle nas widzieli!
Wyjechaliśmy!

W lusterku z zewnątrz państwo widzę nasze –
Oj, za granicą jestem pierwszy raz!
Na złość niektórym jestem, i zobaczą
Warszawę, Paryż i sto innych miast!
Ech, te drogi śliskie,
Mokre kocie łby!
Polskie kartofliska
Wokół polskich wsi!
Chłop na wozie swojsko
Batem konia tnie –
Szkoda, że po polsku
ja ni be, ni me.

Spragnieni, głodni, no i dość skonani
Stanęliśmy, by wrzucić coś na ząb,
Bąknąłem po rosyjsku „Proszu pani!”
I zrozumiała mowę z obcych stron!

Ech, przydrożne dania,
Ubogi menu!
Jem bez wybrzydzenia,
I smakuje mi.
Deser na ostatku –
Sympatyczny kraj!
I na ich „herbatku”
Dmuchać jak na czaj.

Rachunek wyliczyła polska pani,
A ja, z wrazenia pozbawiony tchu,
Zagranicznymi płacąc banknotami
Mruknałem z irytacją: „Drogo tu...”

Dobrze być Polakiem!
Czemu – każdy wie;
Dziewczyny tu takie,
Że serce się rwie!
Pod lasem, przy sianie,
Chustek barwny krąg –
Panny roześmiane,
Stogów równy rząd.

Mówił nam chłop: – My tutaj piekło przeszli,
Kamień by płakał, panie, gdyby mógł,
Namordowali Niemcy naszych dziewczyn,
Tu gdzie nie stąpnać, panie, ludzki grób...

Ziemię tną lemieszce
W proste linie bruzd,
Kości do dziś jeszcze
Bieleją wśród zbóż,
Rzeczy Pospolitej
Taki wypadł los –
Życia nie przeżyte
Wyrastają w kłos...

I nagle mózg rozsadzać zaczął czaszkę,
Wróciło to, co wraca nie od dziś:
Powstanie przypomniało się Warszawskie,
I polski ból w rosyjską wtargnął myśl.

Wzywali pomocy,
Błagali o broń,
A nasi sztabowcy
Zatrzymali front.
Chcieliśmy przez Wisłę
Z marszu, jak się da...
I płakali wszyscy,
Słyszac wciąż „Nielzia!”

Było, minęło – lecz do dzisiaj w sercu
Niczym odłamek tamte sprawy tkwią:
Bezsilny płacz naszych krasnoarmiejców,
I ten heniebnie zatrzymany front.

Czemu stały armie
Sześćdziesiąt trzy dni,

Patrzac jak Powstanie
Nurza sie we krwi?
Ponoc byl to atut,
Taka nasza gra,
Zeby wiedzial Zachod,
Kto tu racje ma.

A moze sztab mial powazniejsze sprawy,
Moze za pozno zameldowal zwiad?
Dociskam gaz – zblizam sie do Warszawy,
Nadrobic chce spoznienie z tamtych lat.

No i nie spozniliście się, Marinko.

A potem był i spacer po Łazienkach, Stare Miasto, i urna z datkami na odbudowę Zamku Królewskiego. Z ogromną prostotą i w skupieniu on – rosyjski poeta wrzucił plik banknotów, Ty – francuska gwiazda – pamiątkowy rodzinny pierścionek. Tak, tak, pamiętam...

Wołodia nie rozstawał się ze swoją gitarą. Kiedyś jednak, ku naszemu zdziwieniu, przyjechał do Polski bez niej. Okazało się, że na granicy radziecki celnik oznajmił mu: „*Wysockij, wasza gitara nam slizskom cennaja*”. I musiał ją zostawić w depozycie! Urzędas uznał, że nie może dopuścić do tego, by Wysocki gdzieś tam, nie wiadomo dla kogo koncertował. Wykoncypował sobie pewnie, że gdyby do jego przełożonych dotarła wiadomość o jakimś nielegalnym koncercie w zaprzyjaźnionej Polsce, to on, celnik, będzie miał taką zasługę, że usiłował temu zapobiec – przeciw legendarnej, siedmiostrunnej gitarze Wysockiego za granicę nie puścił. Zresztą, Bóg jeden wie, co ten człowiek sobie myślał. Może tak kochał tę gitarę i tyle ona dla niego znaczyła, że nie chciał, by Wołodia gdzieś ją po drodze zniszczył lub zawieruszył.

Natychmiast znaleźliśmy Wysockiemu inną gitarę. Co prawda, sześciostunową, ale nic to. Wołodi nie trzeba było długo namawiać. Tamten zaimprovizowany koncert odbył się w hotelu „Mazowieckim” w Łodzi.

Łódź nie leży na trasie Warszawa–Świecko. W Warszawie Wołodia i Marina dowiedzieli się, że kręcą tam film. Początkowo nie mieli zamiaru mnie odwiedzić. Śpieszyli się. Już się ściemniało, gdy za Łowiczem zobaczyli drogowskaz z napisem: „Łódź 50 km”. Zdecydowali jednak spotkać się ze mną. Na ich szczęście! Zaoszczędzili tysiąc kilometrów. W recepcji hotelu „Mazowieckiego” stwierdzili, że ich paszporty zostały w „Europejskim” w Warszawie. Przywiozła im je nazajutrz Małgorzata Braunek, jadąca na postsynchrony *Potopu* do Łodzi.

Wieczorem zebrało się małe grono filmowców, m.in. Kazimierz Kutz, Jerzy Hoffman, Janusz Majewski, Małgosia Potocka. Wysockiego nie trzeba było długo namawiać. Wystarczyło poprosić: „Wołodia, zaśpiewaj”. Stroił gitarę, odchrząkiwał, gasił papierosa – palił dużo, mocnych, amerykańskich. I zaczął...

Nieczęsto zdarzyło mi się widzieć łzy w oczach mężczyzn.

Na koncertach Wysockiego – zawsze. I wszystkim nam przebiegały ciarki po plecach. To było coś niezwykłego.

Słyszałem go śpiewającego głównie dla Polaków. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie rozumiemy wszystkich słów i przed każdym utworem opowiadał, o czym będzie śpiewał. Tak też było, gdy zaprowadziłem do niego cały Teatr Narodowy podczas naszych gościnnych występów w Moskwie.

Poszliśmy na Małą Gruzinińską, gdzie Wołodia mieszkał. Przygotował dla nas wspaniałe przyjęcie. Cały suto zastawiony stół: łosoś, kawior, grzybki, wódeczka... tym razem nie było Mariny z prowiantem od paryskich Ormian. Moskwa – nie Paryż; nawet Wysocki, przed którym otwierały się drzwi magazynów i restauracji (nie mógłby chyba sobie wyobrazić, że np. nie ma dla niego jesiotra czy wolnego stolika), potrzebował całego dnia na przygotowanie takiego przyjęcia.

Był gościnny, jak tylko Rosjanie potrafią. Bardzo lubił przyjmować, kochał, kiedy ludzie spotykali się u niego, jedli, bawili się, czuli jak u siebie w domu. Wołodia był wtedy w swoim żywiole. I właśnie wówczas najchętniej śpiewał. Oprócz zespołu Teatru Narodowego była towarzysząca mi w tournée Maryla Rodowicz, którą Wysocki bardzo cenił.

Widzisz, Marinko, Wołodia musiał na przestrzeni kilku lat poznać i zaakceptować aż trzy towarzyszkę życia swojego kolegi. Ja miałem szczęście tylko do Ciebie. Za trzecim razem byłaś zresztą świadkiem na naszym ślubie, w Paryżu, 1978. Wołodia był wtedy w Moskwie. Chyba chciałem Wam obojgu zademonstrować, że żadnych następnych już nie będzie. Ale wtedy, na Małej Gruzinińskiej, parę lat wcześniej, siedziała przy mnie Maryla i pewnie myślała, że następnych ani z nią, ani ze mną nie będzie.

Wśród gości tamtego wieczora był jeszcze Nikita Michalkow, reżyser, sąsiad Wołodi. Zresztą całą tę kamienicę na Małej Gruzinińskiej zamieszkuje artystyczny establishment Moskwy: aktorzy, malarze, literaci.

Mieszkanie Wołodi składało się z niewielkiego, nowoczesnie umeblowanego livingu, przytulnej sypialni z szerokim łóżem i małego gabinetu umeblowanego antykami. Wszędzie czuło się rękę Mariny. Mimo że jej nie było, panował wzorowy porządek. Przypuszczam, że to zasługa matki Wołodi. Ja, bez stałej obecności tytanicznie sprzątającej po mnie kobiety, zagraciłbym każde mieszkanie do granic możliwości.

Jako aktor Teatru na Tagance Wysocki zarabiał bardzo niewiele. Natomiast jakieś środki do życia, może nawet i znaczne jak na stosunki radzieckie, miał. Kiedy jedna po drugiej ukazały się w Związku Radzieckim jego płyty z piosenkami tolerowanymi przez władzę, natychmiast zaczęły je wykonywać ansamble wszystkich knajp, od Władywostoku po Rygę. Ponadto „chodziło to” w radiu i Wysocki musiał mieć z tego jakieś godziwe tantiemy. A jeszcze przecież dawał niezliczoną ilość koncertów, bo zapraszali go wszyscy, łącznie z KGB! W kopertach, wręczanych mu po koncercie, znajdował kwoty znacznie przewyższające jego gażę teatralną. Jednak to wszystko, nawet w warunkach rosyjskich, nie czyniło zeń milionera. Oba jego moskiewskie mieszkania, które widziałem, jak na standardy wybitnych artystów, były skromne i niewielkie, ale urządzone w wielkim smakiem.

Koncert na Małej Gruzinińskiej odbył się, oczywiście, w salonie. I tym razem wielu słuchaczy włączyło magnetofony. Wysockiemu to nie przeszkadzało. Wprost przeciwnie. Zdawał sobie sprawę, że dzięki temu powstają nagrania, które potem krążą po całym kraju.

Nie myśmy wymyślili „drugi obieg”. Ten rosyjski, zwłaszcza jeśli chodzi o piosenki Wysockiego, był bardzo specyficzny, bo nagrania docierały do czekistów i złodziei, partyjnych czynowników i dysydentów, studentów, chłopów, profesorów, żołnierzy. Do wszystkich, przysięgam. Czekistom nagrania podobały się do tego stopnia, że w kolejną,

bodajże 55 rocznicę powstania Czeka–NKWD–KGB zwrócili się do ówczasnie panujących im szefów, by na okolicznościową akademię zaprosili Wysockiego. Nota bene, zaproponowano mu olbrzymie honorarium. Wysocki, rzecz jasna, podjął wyzwanie. Jak Adam Michnik, wierzył, że każdego można odmienić.

Ja też chciałem wierzyć.

Na magnetofonowym zapisie tego koncertu słyszałem owacje.

Pieśni Wysockiego docierały do wszystkich zakątków tego wielkiego kraju, właśnie dzięki tym niedoskonałym nagraniom z prywatnych spotkań, koncertów, których dawał wiele w najdziwniejszych miejscach: w samolotach, w tajdze, w obozie geologów. Niestety, niezmiernie rzadko, a raczej niewspółmiernie rzadko, Wołodia nagrywał je oficjalnie w formie, na jaką zasługiwały.

A jakżeż on śpiewał! Kiedy Wołodia brał gitarę do rąk, to raptem ten niewysoki mężczyzna, w życiu dość cichy i łagodny, przemieniał się w mieszanekę wybuchową. Napięta struna, cięciwa łuku, zapamiętanie aż do granic obłędu, śmierci. I ten głos... Wydawało się, że za chwilę pękną mu struny głosowe, a nam bębunki w uszach, że gitara zapłonie w jego dłoniach... Gdy dochodził do fortissimo, nikt nie mógł się oprzeć magicznej mocy jego interpretacji. Nikt, nawet ci, którzy rozumieli tylko po chińsku. W każdym razie ja nie spotkałem wykonawcy, który potrafiłby tak obezwładnić swoją publiczność.

Może byli więksi od niego poeci, nawet w jego kraju. Za życia Wołodi różnie oceniano jego poezję w środowiskach intelektualnych Moskwy czy Leningradu. Z upływem czasu nabierała wartości. Teraz się ją **czyta**, kiedyś się jej tylko słuchało i wydawała się nieodłączna od głosu Wysockiego. Teraz w pełni pojmuję, dlaczego ta poezja stała się głosem pokolenia, ba, kilku pokoleń. Dla kombatantów wojny ojczyznianej był jednym z nich, dla pilota był kolegą, wspinał się z alpinistami, marynarze okrętu podwodnego zagrożonego zatonięciem słuchają jego piosenek.

Istnieje w Związku Radzieckim tytuł Artysty Ludowego. Na afiszach drukuje się go zawsze od dużej litery, przy nazwisku artysty. Wiąże się z tym tytułem na pewno wielkie mistrzostwo zawodowe, miłość widowni (żadna publiczność świata nie kocha tak swoich artystów, jak rosyjska) i pewne przywileje materialne: mieszkanie, dacze, stawki, wyjazdy itd. Wysocki nigdy nie został mianowany Artystą Ludowym. To jest jasne i zrozumiałe. Ale on i jego lud wiedzieli, kto jest prawdziwym artystą. Oficjalnie zostało to potwierdzone dopiero po jego śmierci, przepraszam, po śmierci Breżniewa.

Aktorów też można by znaleźć równie jak on dobrych, albo i znakomitszych – tak wiele w końcu nie zagrał. Zwłaszcza w filmie nie pozwolono mu nigdy zagrać bohatera pozytywnego. Powierzano mu role czekistów i milicjantów. Chyba po to, żeby podważyć sens jego zbuntowanych pieśni, ośmieszyć je. W przeciwieństwie do mnie, nie miał szczęścia grać w ekranizacjach najlepszej literatury swojego języka.

Pamiętasz, Marinko, zawsze marzyliśmy, żeby zagrać razem, we troje w jakimś dobrym filmie. Ta radość zdarzyła się już tylko Tobie i mnie. Ale Wołodia był tam z nami.

To był film zachodnioniemieckiej telewizji, zrealizowany w 1983 roku na podstawie sztuki Erdmanna *Samobójca*. Reżyserem był też ktoś z naszych, Czech Wojtek Jasny. Emigrant polityczny po naszej obrzydliwej interwencji w 68, nauczyciel Milosa Formana. Przyjechał do mnie do Paryża, gdzie wówczas mieszkalem, i powiedział: „Przeczytaj najlepszą komedię o tym, cośmy przeżyli”. Przeczytałem. A potem przypomniałem sobie, że ta tragifarsa była już próbowana w Polsce, w Teatrze Ateneum w Warszawie. Próby zostały przerwane 13 grudnia 1981 roku.

Chociażby dlatego, by sztuka miała swą światową prapremierę, podpisałem kontrakt. Jasny i jego producent prosili mnie o namówienie jakiejś gwiazdy francuskiej, by zgodziła się w tym zagrać.

Z wielu powodów nie mogłem zapomnieć o Tobie.

Dopiero na planie dowiedziałem się od Ciebie, że sztukę tę czytał Ci w oryginale, po rosyjsku, Wołodia. Był bowiem przyjacielem Erdmanna. I marzył, by to zagrać.

Podczas pracy nad filmem przesładowało mnie kilka kompleksów. Po pierwsze: czułem, że przy całej sympatii dla mnie i mojego aktorstwa przyglądasz mi się z rezerwą i myślisz, jakby to mógł zagrać Wołodia. Po drugie: po rosyjsku było to o wiele śmieszniejsze i mądrzejsze. A po trzecie: filmy na podstawie sztuk teatralnych niezwykle rzadko się udają. Tym razem także. Ale cośmy przeżyli, tośmy przeżyli.

Wysocki posługiwał się szalenie oszczędnymi środkami wyrazu, które mimo to, albo dzięki temu, robiły na widzach kolosalne wrażenie. Czuło się, że jest to niebywała osobowość, w której geniusz poetycki w tajemniczy sposób stawał się dopełnieniem kunsztu interpretacyjnego. Wysocki zawsze wrywał swe pieśni z żył i nerwów, śpiewał całym sobą, całym ciałem. Każdy koncert był dla niego ogromnym wysiłkiem fizycznym. Jego interpretacje, jak znaki wodne na papierach wartościowych, są nie do podrobienia, są jedyne w swoim rodzaju. Ja nie daję się namówić na śpiewanie jego utworów. Byłem zbyt blisko Wołodi, zbyt blisko jego pieśni, widziałem, jak one powstawały. Nie ośmieliłbym się śpiewać

ich inaczej, a nie chcę go niezdarnie imitować. Moi koledzy, tysiące ludzi śpiewają te pieśni i nie mam nic przeciwko temu. Ale nie oczekujcie tego ode mnie.

Czasem śpiewaliśmy razem, ot tak, dla przyjemności, często wygłupiając się przy tym. Robiłem to trochę „pod niego”. Dobrze, że nie istnieją żadne magnetofonowe nagrania tego śpiewania, bo to nie na sprzedaż. Publicznie nie ośmieliłbym się udawać Wysockiego.

Tak wysoko napięta struna wibrowała tylko w jego wykonaniach. Jest ona przywilejem najwybitniejszych artystów: ich losem, szczęściem, i być może, przekleństwem. Tym ostatnim płaci się za największą miłość.

Kiedy Wołodia śpiewał piosenki dramatyczne, skupiony był na gitarze. Pochylona głowa, wzrok wbity w instrument. Tylko czasami rzucał krótkie spojrzenie przed siebie, trochę do góry, omijając oczy słuchaczy. Podczas, najczęściej, wielogodzinnych koncertów Wołodia był skoncentrowany na utrzymaniu fenomenalnej harmonii pomiędzy przeponą, krtanią, rękoma i strunami gitary. A ta w jego rękach stawała się czymś niezwykłym i... głośnym.

Pamiętasz, Marinko, Wołodia akurat przyjechał z Moskwy. Był wieczór, siedzieliśmy w Twoim maleńkim mieszkanku przy Duroc. Poprosiłem, by zaśpiewał coś nowego. Uderzył w struny i zaczął. To był dalszy ciąg *Polowania na wilki (Ochota iz wiertolota)*.

POLOWANIE ZE ŚMIGŁOWCÓW

Brzytwą światła na skos po źrenicach ciął brzask
I jak drzwi w szczękę strzelb zatrząskiwiał się las,
Strzelcy byli tuż, tuż, echo niesło ich zgiełk,
Potem ważki ogromne zawisły wśród mgieł –
Seria kul świeży śnieg rozorała jak kieł.
Łoskot w ziemię was wgniótł i wstrzymaliśmy dech,
Nawet ten, nawet ten, co najlepszy miał węch,
Basior szybszy niż wiatr i sprytniejszy niż lis,
Ten, co prosto w nagonkę nie wahał się iść –
Nawet on dziś się bał i dygotał jak liść.

Nie uśmiecha się życie do wilków, to my
Wilczym chwytem trzymamy się życia –
Za to śmierć szczerzy do nas w uśmiechu swe kły,
Śmierć to młoda, okrutna wilczyca.
Nie będzie żałować pazurów i paszcz,
Drogo skórę wrogowi sprzedamy!
Lecz na śniegu posoką wyrok pisze się nasz:
Nie jesteśmy już więcej wilkami!

Żłobiąc śnieg próbowaliśmy umknąć gdzieś w bok,
W blade niebo zdumiony wbijaliśmy wzrok –
Może Bogu w tym dniu pomyliło się coś,
Czemu wali się świat, za co karze nas los?
Wielkie ważki znad drzew biły ogniem na wprost...
Ołowiany siekał deszcz i spływałyśmy krwią,
W ślepią śmiała się śmierć, powlekając je mgłą,
Przerażenie na karkach jeżyło nam sierść –
To nie Bóg, tylko człowiek urządził tę rzeź
I rozdawał co miał – komu w kark, komu w pierś...

Chodźcie, psy! W równej walce jesteście bez szans,
Smycz wam pole wolności wyznacza!
Wilk to wilk! Chodźcie zmierzyć się jeszcze ten raz,
Wyście psy, to i śmierć wam sobacza!
Nie będziemy żałować pazurów ni paszcz,
Ale – wróg gdzieś wysoko nad nami,
I na śniegu posoką wyrok pisze się nasz:
Nie jesteśmy już więcej wilkami!

Naprzód! Pędem przez rzekę i szybko na brzeg,
Naprzód, wilki! Jedyne ratunek to bieg!
Osłaniajcie szczenięta i za mną, do drzew!
Lawiruję wśród kul, w gardle pieni się krew,
Nie odzywa się nikt na żalony mój zew...
Ten i ów śmignął w ostęp i zdołał się skryć,
Jestem sam, całkiem sam i nie zrobię już nic –
Łapy nie chcą mnie nieść, w płucach tchu coraz mniej –
Gdzie jesteście, niedawni królowie tych kniej?
Do mnie, wilki! W gromadzie umiera się lżej!

...Żyję. Tak... Już zza krat przyglądają się mi:
Patrzcie, wilk! Triumfalnie skowyczą,
To są psy, nasi krewni dalecy, te psy,
Które wilczą bywały zdobyczą...
Co dzień stają przed nimi pyskiem w pysk, twarzą w twarz,
Bezzębnymi ich straszę szczękami,
Lecz na śniegu już wyrok dopisał się nasz:
Nie będziemy już nigdy wilkami!
Nie będziemy już nigdy wilkami!
Nie będziemy już nigdy wilkami!

Kiedy *fortissimo* w ostatniej zwrotce doszło do apogeum, zaczęli dobijać się sąsiedzi. „Proszę wyłączyć te pani płyty!” – domagali się. A Ty próbowałaś tłumaczyć im, że to nie gramofon, że to mąż, który dopiero co przyjechał. Gdyby to byli Rosjanie, prosiliby o bis. A Francuzi, ech, szkoda gadać... Trudno się dziwić, że Wołodia czuł, iż „tam” to nie jest jego miejsce. A gdzie było? Kiedy wracał „tu”, do Ojczyzny, od razu rozwścieczało go wszystko, co widział wokół. Ale to była wściekłość, z której coś wynikało. Dotykał swej pięknej i strasznej ziemi jak Ilia Muromiec i nabierał sił – tworzył najwspanialsze pieśni.

Zgromieni przez sąsiadów wyszliśmy na ulice Paryża. To naprawdę wolne miasto wolnych ludzi. Usiedliśmy pod jakimś parkanem i zaczęliśmy śpiewać. Wtedy Zuzanna, zaśmiewając się, wskazała na napis na parkanie: *Chantier interdit*². Wołodia znał już trochę francuski, wiedział, że *chanter* znaczy śpiewać – spieszył się i przerwał. Jak to Rosjanin – zakaz to zakaz. Widocznie przez chwilę wierzył, że pod tym płotem Francuzi zabraniają śpiewać.

We Francji przeważnie pisano o Wysockim jako o mężu Mariny Vlady, ale także jako o rosyjskim Brassensie. Nie słyszałem, żeby Wołodia to komentował. Na pewno cenił tego poetę i pieśniarza, ale bodaj czy nie wyżej stawiał kunszt muzyczny i interpretacyjny Charlesa Aznavoura. Zabawne. W Gdańsku w czasie zdjęć do *Blaszanego bębenka* dowiedziałem się, że Marina i Wołodia przyjechali do Warszawy. Jak zwykle gnali z Moskwy do Paryża albo na

² *Chantier interdit* (franc.) – budowanie wzbronione.
Chanter interdit – śpiewanie wzbronione.

odwrót, już nie pamiętam. Nie mogłem osobiście przywitać moich przyjaciół. W naszym maleńkim mieszkaniu przy Inflanckiej honory domu pełniła Zuzia. Ja w Gdańsku kręciłem akurat sceny z udziałem Aznavoura. Bardzo chciałem przedstawić przyjaciela memu francuskiemu koledze, podzielić się Wysockim. Z wieloma tak się dzieliłem, zawsze zbyt emocjonalnie, zbyt hojnie. Najczęściej czyniłem to posługując się nagraniami Wołodi. Usiłowałem na bieżąco tłumaczyć i – co za kretynizm – nawet podśpiewywać wraz z nim. I zawsze, czy to Polacy, Francuzi, czy Amerykanie, dawali mi znaki, żebym przestał. Bo wszystko jest jasne. Z Aznavourem było podobnie. Puściłem mu *Dwie gitary* – Charles wylansował później we Francji ten cygański przebój.

Tu muszę się pochwalić, że i ja mam swój udział w ostatecznym brzmieniu tej piosenki... Wołodia śpiewał to na jakimś przyjęciu, gdy ja byłem już tak rozochocony, że po kolejnym „ech raz!” chlapnąłem duszkiem całą szklanekę wódeczki. „*Da szto ty!*” – wtrącił na ten widok Wysocki, w rytmie piosenki, ale normalnym głosem. Okazało się, że tę odzywkę włączył na stałe do piosenki, twierdząc, że to brzmi „bardzo po cygańsku”.

Uważnie przyglądałem się Aznavourowi słuchającemu *Dwóch gitar*. Ten niewysoki, bardzo gadatliwy mężczyzna, któremu nie sposób było przerwać, **milczał całe pięć minut!** – tyle trwa utwór Wysockiego. Potem wstał, poprosił o kluczyk od minibaru (wtedy już były takie w gdańskich hotelach), nalał sobie małą wódkę. Wypił i dalej nic nie mówił! Wyszedł. Odprowadziłem go, aż do jego pokoju. Żegnając się powiedział, wysuwając w charakterystyczny sposób dolną szczękę: „*Il ne chante pas. Il vomiet*³. Lepiej niż ja”

Długo czekałem na połączenie z Warszawą. O drugiej w nocy odebrała Zuzia. Wołodia już spał. Poprosiłem, by przekazała mu tę recenzję Aznavoura. Do dziś nie wiem, czy to zrobiła.

³ *Il ne...* (franc.) – On nie śpiewa, on wyrzuca.

Człowieka z żelaza pierwszy raz oglądałem w Cannes. Było to niespełna rok po wybuchu „Solidarności”. Andrzej zrobił ten film, jak wiadomo, bardzo szybko. Marina siedziała obok mnie. Kiedy w ostatnich sekwencjach filmu Krystyna Janda zaśpiewała z taką ekspresją jak Wołodia, Marina załkała. W chwilę potem powiedziała: „Mój Boże, że Wołodia tego nie doczekał, nie widzi, co się w Polsce stało”.

Ale w jakimś sensie był obecny, uczestniczył w tamtych niezwykłych wydarzeniach. W roku 1981 wziąłem udział w Festiwalu Piosenki Zakazanej. Może także dlatego, że pamiętałem o tym, co szepnęła mi Marina w ciemnej sali kinowej.

Festiwal w wielkiej hali „Olivii” organizowała gdańska „Solidarność”. Zjechali bardowie z całej Polski. Wśród nich Jacek Kaczmarski, Andrzej Garczarek, Maciej Zembaty i wielu innych. Powierzono mi prowadzenie tej imprezy. Miałem też ogłosić wyniki konkursu. Najbardziej podobała mi się piosenka Jacka Kaczmarskiego, ale wygrała inna – nie najwyższego lotu, odwołująca się do prymitywniejszych politycznych instynktów: „... A w tę dupę wypiętą na Polskę kopa dać, choćby była czerwona”. Ten werdykt, mimo że niefortunny, był o tyle zrozumiały, że był to okres wzmożonych nastrojów antyradzieckich. Wyszedłem i powiedziałem:

– Proszę państwa! Jako że na tej sali panuje pełna demokracja, ja, wasz konferansjer, niekoniecznie muszę zgadzać się z vox populi. Mnie akurat najbardziej podobała się inna piosenka, nie powiem która – tu część widowni nagrodziła mnie brawami, dając wyraz temu, że się ze mną zgadza. – Werdykt już zapadł – kontynuowałem – ale nie mogę na zakończenie tego festiwalu nie podzielić się z państwem moimi refleksjami. Niewątpliwie ci wspaniali – niektórzy! – poeci, bardowie śpiewający z gitarą swoje wiersze są oryginalni. Ale ich rodowód literacki i emocjonalny wywodzi się od słynnych pieśniarzy i poetów rosyjskich. Przede wszystkim od Bułata Okudźawy, a ostatnio także od coraz bardziej znanego w Polsce Włodzimierza Wysockiego. Niestety, on już od roku nie żyje. Sądzę, że gdyby żył i gdyby dostał wizę do Polski, co nie jest takie pewne, to jego występ byłby ukoronowaniem tego festiwalu. Nie żyje, problem wizy już nie istnieje. Dajmy mu więc wizę duchową! Chciałbym zakończyć to nasze spotkanie piosenką w jego wykonaniu...

Na moją prośbę na sali wygaszono światła. W tej ciemności jeden jedyny reflektor oświetlił samotny mikrofon. I rozległo się słynne *Polowanie na wilki*. Przedtem pokrótce opowiedziałem, o czym jest ta pieśń: obława, pola otoczone chorągiewkami, wiadomo – pod czerwoną szmatką wilk nie przejdzie. Idzie nagonka. Stado rozpierchło się. Polowanie trwa, wilki padają. Tylko jednemu udaje się ująć z życiem. Wiadomo, że wróci, bo przecież gdzieś tam, w śniegu zostali jego bracia...

Nie byłem pewien reakcji sali. 5000 ludzi to przecież tłum i wcale niełatwo nim pokierować. Nawet najbardziej lubiany konferansjer może mieć z tym kłopoty. To naprawdę sztuka opanować tak rozhuśtaną publiczność, a tym bardziej zaproponować jej cokolwiek. Jednak zapadła cisza. Wołodia śpiewał, a ja patrzyłem, jak wszyscy powoli, powoli wstają z miejsc. Tak to Włodzimierz Wysocki wziął udział w naszym święcie.

Parę lat temu, gdy o pierestrojce jeszcze nikomu się nie śniło, a ci, którym się śniło, siedzieli w więzieniach, włoski reżyser Mauro Bolognini zaproponował mi rolę w filmie o Idzie Nudel, rosyjskiej dysydentce pochodzenia żydowskiego. Grała ją Liv Ullman. Ja byłem jej filmowym mężem–poetą. W jednym z wywiadów, którego wtedy udzieliłem, powiedziałem: „Robimy ten film niejako w zastępstwie, bo przecież najlepiej zrobiliby go sami Rosjanie. Oni mają do tego tematu prawo, a zarazem obowiązek. Niestety, w obecnej sytuacji – mówiłem – to nasze zastępstwo jest konieczne. Sztuka nie może milczeć na ten temat. Na razie Rosjanie nie mogą mówić o sobie własnym głosem, ale kiedyś na pewno to się zmieni”. Słowem, jakbym przeczuł to, co się później stało.

Nie wyobrażałem sobie, aby w filmie mającym oddać atmosferę intelektualną i emocjonalną środowisk dysydenckich w Rosji, mogło zabraknąć duchowego filaru tych środowisk. Absolutnie konieczne wydało mi się wprowadzenie pieśni Wysockiego. Zasugerowałem to reżyserowi, a on zaproponował scenę, w której proszę Liv – moją „żonę” – by posłuchała, co o ludziach w naszym położeniu śpiewa Wysoki. Zresztą jego imię w tej scenie nie padło.

Przystąpiliśmy do próby, włączyłem magnetofon. Muszę przyznać, że Liv Ullman rozczarowała mnie. Jako aktorka, profesjonalistka, zawiodła. Zagrała w tej scenie „wzruszenie w ogóle”, czyli w sumie nic nie znaczące. W aktorstwie nie ma grania „w ogóle”. Jest reakcja na konkretną emocję, słowo, zdarzenie. W myśl scenariusza pieśń Wysockiego miała spowodować właśnie taką reakcję, wywołać pewien rodzaj napięcia. Tymczasem Liv nie zareagowała, w jakiś sposób zmarnowała temat. W ogóle się tym nie zainteresowała! W przeciwieństwie do całej ekipy, która zaintrygowana głosem, ekspresją, ciasno skupiła się wokół magnetofonu. W przerwie długo musiałem tłumaczyć, o czym śpiewa Wysocki – to było *Echo* – i kto to w ogóle jest. Patrzcie jak to działa! Jeszcze raz napięta struna. Międzynarodowa ekipa, po rosyjsku ani w ząb, a jednak coś ich zafrapowało, przykuło do magnetofonu. Właśnie to **coś**. To **coś**, czego ani oni, ani chyba ja sam do końca nie rozumiemy.

Liv potraktowała to wszystko nader niefrasobliwie. W przerwie między zdjęciami pilnie czegoś słuchała z walkmana. Zaintrygowany spytałem:

– Czego ty tak słuchasz?

Zdjęła słuchawki i wzruszona odpowiedziała:

– Rachmaninowa...

Wyraźnie chciała się napompować kultura rosyjską, aby z takim XIX–wiecznym patosem wejść w rolę, wcielić się w postać, ale wybrała źródło do Anny Kareniny, a nie do filmu o Idzie Nudel. Pomyliła kurki. Niestety, zagrała tę rosyjską dysydentkę trochę nieadekwatnymi środkami wyrazu. Zrobiła to wspaniale, bo jest wielką aktorką, ale według fałszywych założeń. Grała dobrze, ale to było nie to, kompletne nieporozumienie. Wiem, co mówię, trochę znam rosyjskich dysydentów, również pochodzenia żydowskiego, z ich niepowtarzalnym poczuciem humoru.

Liv w swojej garderobie słuchała Rachmaninowa popijając soki, a ja z ekipą, popijając grappę, słuchałem Wysockiego. Popijając najlepiej się go słucha. Puszczaliśmy im następne nagrania, tłumacząc teksty. Byli bardzo przejęci. Liv to po prostu umknęło.

Nie powiem, byłem na nią bardzo zły. Minęło parę dni i widzę, Liv czyta jakiś wywiad w izraelskiej gazecie. Właśnie z Idą Nudel! Podekscytowana zwróciła się do mnie:

– Daniel, czy ty znasz takiego poetę... Vladimir Visotsky?

– Tak – mówię. – A bo co?

– No bo ta moja bohaterka twierdzi, że to jej ulubiony poeta, że dzięki jego pieśniom przetrwali te lata życia w niewoli. Ja go muszę poznać.

– Livuniu – powiadam. – Właśnie trzy dni temu słyszałaś jego głos z taśmy. I nawet nie spytałaś mnie, kto to jest, ani o czym śpiewa.

– A *Polowanie na wilki* znasz?

– Znam. Kiedy ty wsłuchiwałaś się w swego Rachmaninowa, my właśnie tej pieśni słuchaliśmy.

Powiedziałem to na tyle chłodno i złośliwie, że Liv odebrała to jako przytyk. Jest bardzo inteligentna i wrażliwa, ale Wysockiego przegapiła. A przecież praca aktora polega nie na tworzeniu fikcji, lecz na odtwarzaniu prawdy. Popelniła błąd zawodowy. Wpływ pieśni Wysockiego na życie rzeczywistej Idy Nudel był tak wielki, że nie znając go, nie można było dotrzeć do prawdy tej kobiety.

Niech mi Liv wybaczy tę opowieść. W niczym nie może ona umniejszyć jej talentów. To tylko żartobliwa krytyka jej pretensji do bycia specjalistką od Rosji. Ale pomyliła Rosję z hotelem „Rossija”.

Wysocki miał nieprawdopodobną *vis comica*. Zdumiewało to w zestawieniu z jego poważnymi, tragicznymi pieśniami, najbardziej chyba znanymi. Komiczne piosenki Wołodia śpiewał zupełnie inaczej, zmieniał się: zadzierał trochę głowę, unosił brew, zaokrąglął oczy. Używając minimum środków wyrazu w mgnieniu oka robił się cholernie zabawny. Najczęściej śpiewał w imieniu swoich rodaków: naiwnych, troszeczkę śmiesznych, troszeczkę żalonych ludzi. Tam wszyscy są albo śmieszni i zarazem tragiczni, albo żałośni i dostojni, dumni bez pychy albo od razu pyszni bez miary. Wołodia był tego świadom, stąd w jego zabawnych piosenkach brała się ironia, ale i wyrozumiałość.

Wszyscyśmy chyba te śmieszne piosenki przynajmniej raz słyszeli. Były to najczęściej taśmy nagrane podczas jego domowych koncertów. Na wielu z nich salwy hucznego śmiechu zagłuszają wykonawcę. Tekstu nie słysząc, bo słuchacze tak ryczą, że prawie tarzają się ze śmiechu. Takich taśm krąży po Polsce sporo, a wiem to z całą pewnością, bo kilka z nich należało kiedyś do mnie.

W pamięci szczególnie utkwiły mi chwile, kiedy Wołodia śpiewał w moim domu takie prywatne piosenki. Bardzo lubił mojego syna Rafała, który zresztą po swoim go imitował. Miał 5 lat i śpiewał naśladując gesty i sposób interpretacji Wysockiego w jakimś dziwnym, wymyślonym przez siebie języku. Rozczulony tym Wysocki napisał, jak twierdził – dla Rafała, piosenkę o chłopczyku, który bawi się żołnierzami pt. *Pięcioletni Napoleon*. Wyszła z tego długa ballada, niekoniecznie o Rafale, stąd drobna zmiana tytułu, pełna metafor, których do końca nie zdążyłem rozszyfrować, ponieważ bardzo szybko i tę kasetę ktoś mi podwędził. W tej książeczce z całej ogromnej spuścizny Wysockiego wybieram tylko te teksty, z którymi wiąże się jakaś anegdota lub osobiste wspomnienia. Proszę mi ten szczególny wybór wybaczyć.

SZEŚCIOLETNI NAPOLEON

Będą wiersze oraz coś z teorii liczb,
W zgiełku bitwy mój utonie głos:
Znów na mapie zaczną się ze sobą bić
Zbrojne hufce ołowianych wojsk.

Lepiej byłoby w koszarach zostać im,
Lecz zabawę tę uwielbia świat,
Walczą więc – i obie armie w boju tym
Wyrównany mają bilans strat.

Może wodza zawiódł strategiczny kunszt,
Może w wychowaniu jakiś błąd,
Bo nie umie wygrać wojny ani rusz
Żadna z dzielnie wojujących stron.

Nie topnieją wojska w ogniu ciągłych walk,
W nieskończoność wielka wojna trwa:
Jednej armii szkoda, drugiej armii żal –
Jak rozstrzygnąć, która przegrać ma?

Ni strategii w tym, ni taktyki za grosz,
Nie rozróżnisz, kto tu swój, kto wróg;

Właśnie na Norwegię spadł śmiertelny cios,
Zajął ją staroegipski pułk.

Lewa ręka skandynawski zmienia front,
Ale na nic taki manewr, bo
Już zdecydowanym gestem prawa dłoń
Znów przywraca dawny status quo.

Gdzie jesteście, znawcy militarnych gier,
Wy, zahartowani w setkach klęsk?
A la guerre – wiadoma rzecz – comme a la guerre;
Wytłumaczcie dziecku, jak to jest!

Albo wy, geniusze błyskawicznych starć,
Wy, którym liść lauru wieńczy skroń,
Gdyż z Cezara potraficie przykład brać
I wygrywać wojny tak jak on?

Nie pomaga nowy plan i nowy szyk:
Obojętnie, kto by się z kim bił,
W obu armiach wciąż nie może zginąć nikt –
Idealnie równy układ sił!

Mknie konnica i armaty ciągle grzmia,
Toczy się nierozstrzygnięty bój –
Ciężar ponad siły na swe barki wziął
Sześćioletni Napoleon mój...

Żeby więc uwolnić go od udreń tych,
Wziąłem ołowianych zuchów część
I pomalowałem na niebiesko ich:
Rano patrzę – wśród niebieskich rzeź!

Chciałem pomóc i pomogłem – chcieć to móc,
Ale jedno spać nie daje mi:
Czemu zdecydował mój maleńki wódz,
Że powinni zginąć właśnie ci?

Wołodia nigdy nie przejmował się tym, że ludzie uprawiają proceder na całym świecie nielegalny – reprodukcja i rozpowszechnianie dzieła bez zgody autora. Nie zareagował również wówczas, gdy w republikach azjatyckich, gdzie opanowany przez mafię czarny rynek jest poważnym czynnikiem ekonomicznym, zaczęto po piracku wydawać jego płyty! Wiedział, że tak naprawdę istnieje dzięki temu właśnie. Jak Rosja długa i szeroka, może poza moskwianami, mało kto wiedział, jak wygląda i ile ma lat. A dziś jego zdjęcia sprzedają na cmentarzu Wagańkowskim. Może więc i ja nie powinienem żałować, że moje taśmy poszły do ludzi. No, trudno, Bóg z nimi – ktoś ich przecież słucha.

Ale jednej kasety, która przepadła jak wiele innych, to mi żal. Była na niej piosenka, której już nigdy potem nie słyszałem. To było chyba jedyne jej wykonanie. Wołodia zatytułował ją: *Piosenka dla naszego przyszłego filmu „Byli lotnicy”*. W filmie, którego scenariusz Wysocki napisał razem ze swym przyjacielem, mieliśmy zagrać razem. Marzyliśmy o tym. Trzecia rola

przeznaczona była dla przyjaciela Mariny, a potem już naszego wspólnego, wybitnego francuskiego aktora, obecnie supergwiazdy, Gerarda Depardieu. Miało być tak, jak w tych kawałach: Rusek, Francuz i Polak...

Historia z grubsza wyglądała tak: w niemieckim oflagu wśród tłumu innych jeńców siedzi trzech pilotów – Rosjanin Wołodia, Polak Daniel i Francuz Gerard. Zaprzyjaźniają się. Zbliża się wyzwolenie, zwycięstwo aliantów i Stalina. Francuzowi jest absolutnie obojętne, kto wyzwoli ich obóz – chce tylko spokojnie tego doczekać. Natomiast Polak, a zwłaszcza Rosjanin, wyzwoleni przez Armię Czerwoną, nie są zbyt pewni swego losu. Postanawiają wcześniej zbiec. I uciekają. Przyjaciel Francuz, a jakże, z nimi. Dalej następowała sekwencja ich niesamowitych przygód w wyzwolonej Europie. Było śmiesznie, patetycznie i tragicznie. Niestety, słowiańska nostalgia dała o sobie znać. Rosjanin postanowił koniecznie wrócić na łono „matuszki Rossii”, Polaka też zżerała tęsknota.

Jak tu wrócić? No, jak to, najkrótszą drogą, samolotem! Wiadomo, lotnicy. Skąd wziąć samolot? Najprościej chyba pożyczyć z jakiejś bazy amerykańskiej. Francuz nie był zainteresowany lotem na Wschód. Niemniej jednak powiedział, że pomoże, odwróci uwagę ochrony lotniska i opanuje wieżę kontroli lotów, jak w filmie Jamesa Bonda. Co też zrobił i, rzecz jasna, zginął. Tamci dwaj wystartowali. Zabrakło paliwa. Wylądowali na kartoflisku nieopodal Łodzi. Oddali tym samym nieocenioną przysługę wywiadowi radzieckiemu, bo w jego ręce wpadł najnowszy typ amerykańskiego samolotu odrzutowego. Los pilota rosyjskiego był przesądzony, podobnie jak los większości radzieckich jeńców wojennych, którym udało się wrócić z niewoli. Pilot polski, w czasie gdy Wysocki opowiadał mi tę historię, podobno jeszcze żył. Historia była prawdziwa.

Film nie powstał, szkoda, nic nie wyszło z naszych planów. Za życia Breżniewa było to mało prawdopodobne, po śmierci Wołodi stało się niemożliwe. Ocalała piosenka.

BALLADA O POLEGŁYM LOTNIKU

Wojną rządzi przypadek, ten ją przetrwa, ów zginie –
ja latałem rozważnie, w końcu żyje się raz,
on nie dawał wytchnienia sobie ani maszynie,
ryzykował, był pewien, że się śmierci wywinie,
nawet kiedy niewiele miał szans.

Poległ, zginął myśliwiec, zastrzelili go, spadł,
ja wróciłem szczęśliwie, jak to mówią, bez strat,
do domowych pieleszy, przez pożogę i front –
on był lepszy, godniejszy, godniejszy, godniejszy,
lecz ja żyję, nie on...

Dekownikiem nie byłem, wojowałem jak inni,
biłem się, nie szczędziłem ani krwi, ani sił,
w oczach wdów czytam jednak: „Właśnie ty jesteś winny,
gdyby ciebie zabito na wojnie,
może mój do dziś dnia byłby żył...”

Cóż odpowiem kobietom? Jakich użyć mam słów?
Mnie samemu nielekkko – jestem cały i zdrów,
ja wróciłem, wróciłem, wróciłem, wróciłem,
ja wróciłem – on nie.

W samolocie płonącym jeszcze wołał przez ogień:
„Żyj za siebie i za mnie!” – do dziś słyszę ten krzyk.
On na rajskim lotnisku wylądował przed Bogiem,
choć na mnie nie czekał tu nikt.

Łądowanie miał twarde, lecz wiadomo – to as,
teraz boską eskadrę wspiera w lotach wśród gwiazd,
gdzie ma swoją mogiłę – jeden Bóg chyba wie,
ja wróciłem, wróciłem, wróciłem, wróciłem,
ja wróciłem – on nie.

Wieczny dług zaciągnąłem wobec tych, co zginęli,
co polegli za takich, zamiast takich jak ja,
nas zaś, którzy przeżyli i do baz dolecieli,
dręczy pamięć i gryzie sumienie,
jeśli tylko sumienie ktoś ma.

Ryzykując rozbiciem o wspomnienia i czas,
kołujemy na życie jak myśliwce na pas,
można zginąć, jak tamten, lub do nieba się wzbić –
ja wyszedłem bez szwanku, ja wyszedłem bez szwanku,
co za pech – muszę żyć.

Łączyła nas także namiętność do koni i samochodów. Swój pierwszy samochód (używany mercedes) Wołodia kupił późno, a jeszcze później nauczył się prowadzić. Kiedy już opanował tę umiejętność, jeździł szybko i pewnie. Nawet dziecko nie cieszy się tak z kolejki elektrycznej, jak on cieszył się z samochodu. Nic dziwnego, że tej swojej pasji poświęcił kilka piosenek. Jak zawsze u niego były one czymś więcej niż balladami o kierowcach i automobilach. Jedną z pierwszych napisał bodaj po tym, jak przewiozłem go samochodem po ośnieżonej Moskwie. Popisałem się kontrolowanymi poślizgami, oberkami i innymi sztuczkami. Auto dobre, uczył mnie Sobiesław Zasada, toteż nic nikomu się nie stało, ale kiedy się zatrzymałem, Wołodia wysiadł, ucałował ziemię i powiedział: „*A siejczas ja tiebia spoju na szczot etogo*”.

HORYZONT

Niech wmawia mi kto chce, że postępuję źle,
I że z motyką nie ma co się rwać na słońce:
Za późno – motor gra, horyzont wzywa mnie
I muszę pierwszy być na horyzoncie!

Zebrało się jury, a ja podjąłem grę,
Za kierownicą siadłem bez wahania,
Warunek: cały czas mam szosy trzymać się
I mknąć przed siebie bez zatrzymywania!

Nie liczę kilometrów ani mil,
I słupy raz po raz śmigają w tył,
Lecz ciągle ktoś przebiega mi przez drogę –
To czarny kot, to jakiś czarny człowiek.

Wiem dobrze, kto i gdzie pod koła gwoździ garść
Sypnie na asfalt, żebym marnie zginął,
I wiem, że jestem sam, że mam niewiele szans,
I że czekają z przeciągniętą liną.

Do dechy wciskam gaz, z wysiłku jęczy wóz
I skowyt opon słyszę na zakrętach,
Jedna jedyna myśl łomocze mi o mózg –
Przeskoczyć, póki lina nie napięta.

Nie liczę kilometrów ani mil,
I słupy raz po raz śmigają w tył,
Prędej, do diabła, prędzej, bo skończyli –
Lina na wysokości mojej szyi...
I znów do dechy gaz, znów oszałamia pęd,
A śmierć tak blisko, że przez grzbiet przebiega mrowie,
Nadstawiam nagą pierś, napiętą linę rwę –
I żyję! No? Za wcześniej na żałobę!

Ciekawe, czemu chcą, bym sobie skrzył kark,

Skąd taka wrogość mściwa i zawzięta?
Choć po wariacku gnam, lecz mój szoferski fach
Każe mi trochę zwalniać na zakrętach.

Możecie rów wykopać, asfalt zryć –
Mnie nigdy nie zatrzyma nikt i nic!
Z pokonanymi szepczcie sobie w kącie:
Ja będę wtedy tam, na horyzoncie!

Horyzont jest, gdzie był, nie zbliżył się o włos,
lecz za to lina nie rozdarła mojej krtani,
I znów do dechy gaz, bo już zza węgła ktoś
Opony mi dziurawi pociskami.

Sami mówili: – Jedź, w wyścigu udział weź,
Poznaj horyzont z niewidocznej strony,
Osiągniesz Ziemi kres, zobaczysz, co tam jest...
Teraz seriami wałą mi w opony.
Pudłują, niepotrzebnie tracą czas,
A szosa łśni i szybkość wprawia w trans,
Tylko – hamulce wysiadają. FORTE!
I przelatuję ponad horyzontem..

Wołodia lubił tę piosenkę i często ją w mojej obecności śpiewał. Napisał ją, kiedy nie miał jeszcze prawa jazdy.

Konno nigdy razem nie jeździliśmy – nie było kiedy. On widział moje kawaleryjskie popisy na ekranie, ja jego miłość do koni mogłem wyczytać w jego pieśniach. I to wystarczyło. Rozumieliśmy się.

KONIE NAROWISTE

Wzdłuż urwiska, po krawędzi, wąskim traktem nad otchłanią
Konie swe nahajką smagam, i popędzam, i poganiam –
Duszno mi, powietrza mało, chciwie chwytam wiatr ustami,
Przepaść wciąga nieuchronnie w umieranie, w umieranie...

Trochę wolniej, konie, wolniej, śpieszyć się nie trzeba,
Nie zwracajcie uwagi na bat –
Ani pożyć nie zdążyłem, ani się wyśpiewać...
Nie unście mnie w śmierć, dajcie choć parę lat!

Jeszcze krew w żyłach wre,
Jeszcze tyle się chce,
Jeszcze przecież nie czas –
Jeszcze nie, jeszcze nie!

Zginę, jak drobinę pyłu zdmuchnie, zmiecie mnie huragan,
W sianie zgną mnie o świcie i powloką w dal galopem,
Nie tak prędko, moje konie, odpocznijcie sobie, błagam,
Dajcie mi choć chwilę czasu, dajcie pożyć jeszcze trochę!

Trochę wolniej, moje konie, śpieszyć się nie trzeba,
Niech władzą nie będzie wam bat,
Ani pożyć nie zdążyłem, ani się wyśpiewać...
Nie unosić mnie w śmierć, dajcie choć parę lat!

Jeszcze.. itd.

Dojeżdżamy: nie ma spóźnień na spotkanie z Panem Bogiem,
Tylko czemu aniołowie mają głosy takie groźne?
Może to dzwoneczki w saniach rozdzwoniły się na trwogę?
Może ja na konie krzyczę, żeby niosły mnie ostrożniej?

Trochę wolniej, konie, wolniej, śpieszyć się nie trzeba,
Nie zważajcie, kochane, na bat –
Ani pożyć nie zdążyłem, ani się wyśpiewać,
Nie unosić mnie w śmierć, dajcie choć parę lat!

Jeszcze... itd.

Bardzo lubiłem tę pieśń i Wołodia wiedział o tym. Często ją przy mnie śpiewał.

Znawcy twórczości Wysockiego, koneserzy i kolekcjonerzy dzielą jego ballady na różnorodne gatunki: tragiczne i satyryczne, komiczne i liryczne, takie i owakie. Moim zdaniem, wszystkie te podziały nie mają sensu, a już zwłaszcza wyodrębnianie tzw. utworów politycznych. Na dobrą sprawę wszystkie pieśni Wołodi są w jakiś sposób polityczne, albowiem w krajach pozbawionych wolności słowa każda metafora, każde porównanie i żart – jak w tym dowcipie – „kojarzą się” z polityką.

Nie trzeba było znać Wysockiego osobiście, żeby wiedzieć, co sądzi o świecie, w którym żyliśmy. Wystarczyło wsłuchać się w jego pieśni. Nigdy, choć to nasza narodowa specjalność – rozmawiać – nigdy więc nie rozmawiałem z Wołodią o polityce. Tak już jest, że ludzie, którzy mają podobne poglądy, nie dyskutują o nich. Takie rozmowy ani nie podniecają, ani nie wzbogacają. Dopiero zderzając się z kimś, kto myśli inaczej, zmuszeni jesteśmy do namysłu, do szukania wciąż nowych argumentów, do wysiłku polemicznego. To lubię, całą noc mogę się tak kłócić, co irytuje moich bliskich, zwłaszcza kobiety. Rozpalam się jako artysta na scenie, bo wydaje mi się, że świadczę fundamentalnym wartościom kultury, a jako człowiek – neguję jawne zło, cynizm, wygodny racjonalizm i tzw. ucziwą głupotę.

Sam sobie wynajdywałem przeciwników – od ubeków począwszy, na niektórych członkach mojej rozległej rodziny skończywszy. Niektórzy mnie nawet wzbogacili, z innymi marnowałem czas. W każdym razie ten trening się przydał, zwłaszcza podczas kilku przesłuchań i szantażowo–urzędowych nacisków.

Nigdy nie widziałem Wołodi w podobnych sytuacjach. Spotykaliśmy się zawsze wśród najbliższych przyjaciół. A przecież jego niesłychaną gwałtowność świetnie rozumiałem. Wszystkim, co mu Pan Bóg dał, strzelał do jednego wroga – Zła i Głupoty. Jak wszyscy wielcy artyści. Za to ich – prędzej czy później – kochają miliony. Wszyscy. Prawie wszyscy. Tylko gdzie są pozostali, którzy dręczą tych wszystkich? Musi być ich sporo. Bo przecież na zdrowy rozum Hitler z Goebbelsem czy Stalin z Bериą fizycznie nie daliby rady unicestwić choćby jednego obozu. Ktoś tam, na Zachodzie i Wschodzie, musiał im w tych milionach zbrodni pomagać. Na jednego czy dwóch Wołodia by tak do ochrypnięcia nie krzyczał.

Zostały mi po Wołodi głównie wspomnienia i tego nikt mi nie zabierze, w przeciwieństwie do kaset. Najbardziej mi żal tej – prezentu z moskiewskich wspominek – z nagraniem bodaj jedyne go programu telewizyjnego Wołodi, zarejestrowanego gdzieś na pół roku przed jego śmiercią. Pierwszy raz pozwolono mu, czy raczej jego pieśniom, wejść do telewizyjnego studia. Nie byłoby to możliwe bez nacisków przyjaciół Wołodi. Wiedzieli, że choruje, przeczuwali, że może go nagle zabraknąć. Uświadomili sobie, że trzeba się śpieszyć i już, natychmiast, zarejestrować cokolwiek, co tylko się da. To nie było wcale takie łatwe. Uzyskanie zezwolenia na telewizyjny zapis pieśni Wysockiego w jego własnym, autorskim wykonaniu w tamtej epoce graniczyło ze spektakularnym sukcesem politycznym. Przyjaciele Wołodi uciekli się do następującego fortelu: zapewnili kogo trzeba, że w audycji poświęconej kinematografii Wysocki opowie, o piosenkach, które napisał do różnych filmów. Miał więc zaprezentować utwory, które już przebrnęły przez cenzurę, funkcjonowały w oficjalnych obiegach.

Wołodia zaśpiewał kilka pieśni. Program bardziej przypominał próbę niż recital. Podczas wykonywania jednego z utworów kilkakrotnie się mylił, zaczynał od nowa. Wzruszenie ścisnęło krtani, gdy widziało się, jak **atakuje** swoją własną piosenkę, którą wykonywał już setki razy, którą chyba wszyscy znali na pamięć. To był cały on. Zawsze stawiał sobie wysokie wymagania. Pamiętam taki moment: Wołodia śpiewa *Ot granicy my ziemi*... W jednej ze zwrotek, a jest ich w tej balladzie wiele, myli się. Myli się raz, drugi, trzeci... za każdym razem w tym samym miejscu. Zaczyna kłąć, kamera to wszystko rejestruje. Wpada w złość i wreszcie przelatuje jak burza przez całą piosenkę. Zaśpiewał fantastycznie!

W studiu był sam, mówił nie tylko o poszczególnych utworach, ale i o tym, jak i dlaczego pisze, w jaki sposób zbiera tematy, motywy. Czuło się, jak szalenie mu na tym zależy, jak się stara, żeby program zyskał przychylność czynowników. Jednak od czasu do czasu coś mu się wymykało, a wtedy z reżyserki rozlegało się kategoryczne „stop!”. W ostatecznej wersji są wyraźnie ślady cięć. Wiem, że instruowano go podczas tego nagrania, podpowiadano, co można, a czego nie... Wołodia spokojnie akceptował wszystkie uwagi, wiedział przecież, gdzie żyje. Słuchał tych ludzi i tylko patrzył w górę, spode łba, zmieniał, łagodził, cenzurował sam siebie.

I w naszym kraju był taki czas – a mówię to z myślą o nastolatkach – kiedy artyści, po to, żeby istnieć, musieli i chcieli cenzurować samych siebie. Nabraliśmy w tym takiej wprawy, że metaforyczny język, którym się posługiwaliśmy, skuteczniej docierał do widowni, niż niczym nieskrępowana prawda do wolnych ludzi w wolnych krajach. Mówiąc tylko prawdę, chociaż nie całą prawdę, rozumieliśmy się z publicznością tak dobrze, że życzylibym sobie, aby i dzisiaj tak było.

Kasetę z telewizyjnym programem Wołodi pierwszy raz oglądałem podczas pamiętnych wspominków w Moskwie. Byłem zdumiony, że coś takiego istnieje, że państwowa telewizja zgodziła się zarejestrować występ Wysockiego. Ta sama przezorność, która kazała czynownikom dać zezwolenie na nagranie programu, nie pozwalała im wyrazić zgody na jego emisję. Dopiero za Gorbaczowa telewizja pokazała ten występ. Wkrótce potem fragmenty tego zapisu mogliśmy obejrzeć i my.

Dostałem tę kasetę od syna Wołodi. Odprowadził mnie wraz z Mariną na lotnisko i kiedyśmy się żegnali, wsunął mi ją dyskretnie za pazuchę. Odprowadzał mnie również – a jakże – pewien pan. Tylko jego obecności zawdzięczam, że nie zrewidowano mnie i nie odebrano tego „wywrotowego materiału”. Muszę przyznać, że wpuszczając mnie wtedy na jedną jedyną noc okazano mi wielką uprzejmość... Było to bowiem 31 sierpnia. Pamiętam, jakie wówczas sąsiadów panowały nastroje, co wypisywała radziecka prasa, agencja TASS i inne „Rude Prava”.

Przywiezioną z Moskwy kasetę wykorzystałem podczas wspominek poświęconych Wołodi 1 listopada w warszawskiej Starej Prochowni. Tamtego wieczora Jacek Kaczmarski śpiewał swoje fenomenalne *Epitafium dla Włodzimierza Wysockiego*, Młynarski zaprezentował pierwsze własne przekłady pieśni Wołodi, Marek Perepeczko znakomicie zaśpiewał *Skok wzwyż*.

Scenografia była bardzo skromna. Samotna gitara i zdjęcie Wołodi, snopem światła wyłuskane z ciemności. Wołodia na początku każdego koncertu wykonywał pieśń o górskim echu i dlatego my też zaczęliśmy wspominki tym utworem w jego własnym wykonaniu.

PIOSENKA O ROZSTRZELANYM ECHU

Na górskiej przełęczy, w sąsiedztwie
obłoków i smreków, i smreków,
Wśród skał niedostępnych i stromych,
gdzie nie wspiął się nikt, gdzie nie wspiął
się nikt,
Mieszkało wesołe, wesołe, figlarne,
śmiejące się echo.
Gotowe jak druh odpowiedzieć na krzyk,
ludzki krzyk.

Gdy jesteś samotny i widzisz, że szlak
się urywa, urywa,
Gdy jęk o ratunek w kamienną potoczy
się toń, potoczy się toń,
Pochwyci go echo, uniesie, zanieś,
zanieś troskliwie
Do tych, którzy ruszą na pomoc, by
podać ci dłoń.

I co jest przyczyną, czy szalej, czy
piołun, czy blekot, czy blekot,
Ze obłąd ogarnia w człowieku i serce,
i mózg?
Zjawili się ludzie, by zabić wesołe,
przyjazne im echo,
Zwiążali je mocno i knebel wcisnęli do
ust.

I mieli zabawę, i mieli mordercy uciechę,
uciechę,
A ono milczało, choć klęli i bili do krwi,
i bili do krwi;
O świcie, gdy poszli rozstrzelać
bezbronne, ucichłe już echo
Ze skał poranionych trysnęły kamienie
jak łzy...

Złym ludziom udało się skuć i uwięzić echo, ale nie udało im się pokonać. Tak jak i Wołodi nie pokonała śmierć.

Po *Echu* wziąłem mikrofon do ręki i przebrany w swój stary kostium Hamleta, gorączkowo zacząłem mówić ostatni monolog:

Umieram, Horacy,

Trucizna odbiera mi rozum.

Nie zdążę już usłyszeć wiadomości z Anglii...

Lecz przepowiadam –

wybór padnie na niego...

Fortynbras –

on ma mój głos, konający.

Powiedz mu o tym.

I powiedz mu także, co mnie skłoniło –
reszta jest milczeniem⁴.

⁴ Przeł. Jerzy S. Sito.

MÓJ HAMLET

Ledwie część prawdy mój wyjawi wiersz,
Całej nie mogę – reszta jest milczeniem;
Poczęciu memu towarzyszył dreszcz
Nocy poślubnej i zmysłów wzburzenie.

Dobrze wiedziałem, że im wyższy stan,
Tym większa pycha oraz okrucieństwo.
Ja, synem króla będąc, szedłem tam,
Gdzie czekał tron, korona i królestwo.

Byłem następcą, byłem księciem krwi
Z przywilejami, które Bóg stanowi;
Miałem przyjaciela – i służyli mi
Jak ich ojcowie Danii i królowi.

Przywykłem rzucać słowa swe na wiatr,
Wygłaszać sądy płocze i niebaczne,
A spośród dworzan każdy rad nie rad
Przyszłemu władcy musiał przyznać rację.

Z bandą hulaków przebiegałem gród,
Dania cierpiała na nas jak na ospę,
Żyłem, niesyty przygód, zwad i burd,
I ostrogami dźgałem boki końskie.

Wiedziałem jednak, że udziałem mym
Jest miejsce ojca zając w Elsynorze;
Więc choć wołałem bitew zgiełk i dym,
Znosić musiałem cichy szelest książek.

W krzywym uśmiechu samych tylko ust
Umiałem skrywać niechęć, gniew i gorycz –
Wszak błazen uczył mnie... Nie żyje już.
Wieczne odpoczywanie. Amen. Biedny Yorrick!

Nagle obrzydła mi ze szczętem sieć
Dworskich rozgrywek, intryg, łask i zasług –
Wzruszyła mnie młodego pazia śmierć,
Zamiast polować, kryłem się wśród lasów.

Miłośnik łowów – łowów miałem dość,
Nie chciałem tropić, szczuć, zabijać, strzelać –
Gdy w kniei z bólu ryczał ranny łoś,
Smagałem pejczem jego krzywdziciela.

Widziałem pustkę zabaw tych i chłód,

Życia jałowość pod lichą pozłotą,
I nocą w toni kryształowych wód
Zmywałem z siebie dnia obmierzłe błoto.

Mądrzałem więc, głupiejąc z każdym dniem,
Nie podobali mi się ludzie ani czasy,
I przygnębiony wszechobecnym złem
Uciekłem w księgi, tak jak przedtem w lasy.

Miarę istnienia i materii kształt
Z ksiąg próbowałem wyczytać uparcie,
Lecz czyż pożytek można wynieść z nauk,
Gdy wszyscy wokół mają je w pogardzie?

Przepadły gdzieś przyjaźnie z dawnych dni,
Zostałem sam – i sam na sam ze światem,
W umyśle mym „to be or not to be”
Nierozwiązalnym było dylematem.

Daremny trud – choć rzeczą ludzką jest
Przez sito myśli bezustannie cedzić
Pytania tego pompatyczną treść
W poszukiwaniu mglistej odpowiedzi.

Słyszac zew przodków nie wahałem się
Swej powinności spełnić względem rodu;
Brzemie przemyśleń uskrzydlało mnie,
A skrzydła uczuć wlokły w ciemność grobu.

Lecz bieg wydarzeń kazał złączyć mi
W niespójną jedność ciało, myśl i duszę –
Jak inni, krew przelałem. I dług krwi
Spłaciłem, rozprawiając się z Klaudiuszem.

Upadkiem stał się mój przedśmiertelny wzlot.
Ofelio! Byłem ponad marność świata,
Ale zabiłem. Łotra zabił – łotr.
Zostałem katem, uśmiercając kata.

Ja, książkę Hamlet, odrzucałem gwałt,
Nie chciałem władzy, nie pragnąłem tronu;
Inni myśleli, że do władzy parł,
Rywali swych mordując bez pardonu.

W chwili narodzin śmierć wyznacza zgon,
Myśli geniusza w porę nikt nie chwytą,
I wciąż odpowiedź zadajemy złą,
Nie udzielając na nią trafnych pytań.

Byliśmy z Wołodią kolegami po Hamlecie. Ja grałem księcia duńskiego w Teatrze Narodowym przez cztery lata. On na Tagance przez lat kilkanaście.

Wołodia nigdy nie widział mnie w tej roli, bo gdy grałem w Moskwie podczas gościnnych występów Narodowego, spóźnił się na samolot z Paryża. Wsiadł w następny i kiedy dotarł do Moskwy, spektakl dobiegał końca. Zobaczyłem go, jak stoi za kulisami wpatrzony we mnie, kiedy kończyłem swój ostatni monolog. Miałem nawet do niego żal. Myślałem, że jest na widowni, że zdążył. Już nie zobaczył mojego Hamleta, bo wkrótce rozstałem się z tą rolą. Sprawiała to tragiczna śmierć Olka Iwańca, scenicznego Laertesa, a przedtem jeszcze Andrzeja Nardellego – Gildersterna. Nie chciałem w kostiumach moich zmarłych przyjaciół oglądać innych kolegów. A ponadto uznałem, że z tej roli po prostu wyrosłem.

Mój Hamlet w spektaklu wyreżyserowanym przez Hanuszkiewicza był młodym, odkrywającym świat chłopcem. U Lubimowa to dojrzały, świadomie buntujący się przeciwko złu świata mężczyzna. Wysocki mógł go grać długo. Zobaczyłem go w tej roli dopiero w Warszawie, w 1980 roku. Przybył wprost z Paryża, już w bardzo złym stanie zdrowia. Do końca nie było pewne, czy przyjedzie. Chciano odwołać *Hamleta*, a *Dobry człowiek z Seczuanu* miał iść z jego dublerem. Uprosiłem Marinę, by wpakowała Wołodię do samolotu, żeby jednak przyjechał.

Przyjechał i zagrał. Mogliśmy go wreszcie zobaczyć w jego najsłynniejszej kreacji. Był to już bardzo zmęczony człowiek, ale grał fenomenalnie. Bez jednego zbędnego gestu, grymasu. Był całkowicie skoncentrowany na przesłaniu szekspirowskiego arcydzieła i na tym, co sam wnosił do tego spektaklu. Nie był, niestety, w stanie zademonstrować wszystkich swych aktorskich możliwości i możliwości, jakie daje ta rola. Wyraźnie oszczędzał energię, żeby starczyło jej do końca. Wysocki, świetny aktor, wykorzystał to z największym pożytkiem dla roli i przedstawienia. To było zmaganie się i ściganie z własnym życiem. Żeby zdążyć. Tak jak z tymi końmi w jego słynnej pieśni:

*Ja koniej napoju
Ja kuplet dopoju
Chot' nie mnogo ustaju
na kraju...*

Resztkami sił trzymał się tego skraju, zębami. Dało to bardzo przejmujący efekt. Zwłaszcza dla mnie, przyjaciela, było to wstrząsające przeżycie. Razem z nim z całych sił uczestniczyłem w tym wysiłku i szczegółów tej kreacji nie pamiętam. Szczególną uwagę zwróciłem tylko na sposób, w jaki Wołodia mówił najsłynniejszy i ponoć najważniejszy monolog: *Być albo nie być*, który w rzeczywistości wyniósł dopiero wiek XIX. Mogę wskazać w *Hamlecie* kilka innych fragmentów, istotniejszych, ważniejszych od problemu „być albo nie być”, tymczasem właśnie on zrobił karierę. Wołodia w swojej interpretacji świadomie zbagatelizował ten problem, jakby się dziwił Szekspirowi, że poświęcił mu aż tyle miejsca. Co więcej, w pewnym momencie zaczął się wręcz pastwić nad tym monologiem i jego autorem. Jakby szydził: o co tu chodzi? Po co to tak roztrząsać? Zabić się czy nie? Z gwałtownością równą gwałtowności jego pieśni zaczął siekać tekst, jakby dawał do zrozumienia: jeśli być – to działać, jeśli nie być – to lepiej jak najszybciej. Mówił to mężczyzna dojrzały, zbuntowany, świadomy tego, co czyni, emocjonalnie i intelektualnie dużo starszy od Szekspirowskiego Hamleta. Hamlet Wysockiego przeżył po Szekspirze jeszcze parę wieków piekła na tej ziemi.

Mój Hamlet miał być dużo młodszy od tego z inscenizacji Lubimowa, mimo że zagrałem przedtem w filmie zrealizowanym według opowiadań obozowych Tadeusza Borowskiego. Mając 23–24 lata zderzyłem się z problemami, o których naprawdę nie śniło się filozofom! Po piekle, które przeżył bohater *Krajobrazu po bitwie* rozterki Hamleta wydały mi się

młodzieńcze. Hanuszkiewicz zmuszał mnie do większej naiwności, do której upoważniał mnie – jego zdaniem – mój wiek i wygląd. Chciał, żebym odkrywał świat, zachłannie, ale bez entuzjazmu. Miało mnie zdumiewać i obrażać jego okrucieństwo. I to miało być siłą tego przedstawienia. Tak projektując tę rolę, Hanuszkiewicz jakby mnie odmłodził, i to dosłownie.

Nie sposób „wygrać” do końca całego Hamleta. Zakładałem kilkaset razy jego kostium i na każdym przedstawieniu czułem, jakbym obejmował pień ogromnego drzewa. Miałem za krótkie ręce i nie mogłem dotknąć tego, co jest z drugiej strony drzewa. A to najbardziej mnie pociągało. Ta druga strona odsłaniała mi się za każdym razem inna w kolejnych inscenizacjach. Ale to, co ukazał mi Wysocki, było dla mnie może najciekawsze, pewnie dlatego, że był jakoś tam do mnie podobny, ale już starszy, dojrzały. Patrząc na jego Hamleta, miałem wrażenie, że starzeję się razem z Wysockim.

Po gościnnych występach Taganki w Warszawie odbył się pożegnalny bankiet. Wołodia nie miał już siły śpiewać, choć wszyscy go bardzo prosili. Następnego dnia odleciał do Paryża. Dopiero stamtąd wrócił do Moskwy. Wprawdzie powinien był grzecznie z całym zespołem od razu pojechać do Moskwy, ale uparł się, że musi do Paryża, koniecznie, do Mariny, jakby się bał, że może jej już nigdy nie zobaczyć. Prosił, żeby mu pomóc. Dzięki ludziom z naszego „Pagartu” udało się załatwić miejsce w samolocie. Odprowadziłem go i Lubimowa, który leciał do Budapesztu, aż na płytę lotniska. Czuliśmy, że coś wisi w powietrzu, że zbliża się coś ostatecznego dla nas i dla naszych krajów. Machaliśmy sobie aż do momentu, gdy Wołodia zniknął w drzwiach samolotu. Równie długo i starannie żegnał w Stawisku swoich gości Jarosław Iwaszkiewicz w ostatnich miesiącach życia. Lubimowa miałem zobaczyć po paru latach w Wiedniu, na wymuszonej emigracji, Wołodi nigdy więcej. Z Paryża zdążył jeszcze wrócić do Moskwy i tam – chyba lepiej, że tam właśnie – umarł.

Dopiero wtedy wszyscy poczuli, co stracili, także i ci, którzy za życia go nie doceniali. Kiedy odszedł, serca milionów ludzi zamarły z rozpaczy: nie tylko jego rosyjskich słuchaczy – także tych, którzy go choćby raz słyszeli.

Przez wiele lat dostawałem mnóstwo listów z całego Związku Radzieckiego. Ze zrozumiałych powodów: sporo moich filmów trafiło na ekrany tamtejszych kin, otrzymywałem nagrody na festiwalach, występowałem też gościnnie z Teatrem Narodowym. Do dziś jestem przekonany, że – po polskiej – jest to moja najwspanialsza publiczność. Bardzo liczna – *Potop* obejrzało 70 milionów widzów, nie licząc publiczności telewizyjnej. Wajda jest tam legendą, a ja miałem szczęście zagrać w dziesięciu jego filmach. Opowiadał mi Barysznikow, że hanuszkiewiczowskiego *Hamleta* obejrzał jeszcze jako student szkoły baletowej dwukrotnie. Za każdym razem na stojąco!

Był taki czas, że do Teatru Narodowego przychodziło tygodniowo kilkaset listów adresowanych do mnie. Nawet nie miałem czasu ich wszystkich przeczytać. Po wybuchu „Solidarności” w ogóle przestały przychodzić, jak nożem uciął.

Popatrzcie tylko, jaki to dobrze zorganizowany kraj, jak ta komuna – kiedy chce – doskonale działa. Oczywiście, potrafi tylko niszczyć. Ileż to energii pochłonęło utrudnianie życia ludziom i całym narodom, ileż wysiłku kosztowało podzielenie ich i zantagonizowanie, a ile czasu i pieniędzy zmarnowano na utrudnienie wszystkiego, co tylko chora imaginacja mogła uznać za podejrzane. Sam się o tym przekonałem, kiedy wyjeżdżałem na drugie wspominki Wysockiego...

Jeszcze w Paryżu obiecałem Marinie, że będę w Moskwie, choćby się waliło i paliło, 40 dnia po jego śmierci. Według religii prawosławnej w tym dniu dusza już ostatecznie żegna się z ciałem.

Drugi raz mieliśmy wspominać Wołodę 2 września. Dzień czy dwa wcześniej poszedłem do „Filmu Polskiego”, współwłaściciela naszych paszportów. W ten chytry sposób trzymano nas na uwięzi: „Jak będziecie grzeczni, to zagracie za granicą w grzecznych filmach... A jak nie, to nie będziecie w ogóle grali”. Takie panowały reguły. W ten sposób straciłem wiele filmów, nie mając o tym pojęcia. Nawet w *Blaszonym bębenku* mogłem nie zagrać, bo ktoś za mnie już powiedział „nie”. W tym czasie zmarł szef resortu kultury Janusz Wilhelmi. Jego następcy powiedzieli, że nie chciałbym przekradać się przez „zieloną granicę”, ale jeśli nie dostanę zezwolenia na granie w tym filmie, będę do tego zmuszony. „Panie Danielu – usłyszałem wówczas – jasne, że zagra pan oficjalnie. Przecież taki rozkaz jest głupi”. Ten pan nazywał się Jan Mietkowski i warto go wspomnieć dobrym słowem. Tylko parę miesięcy był ministrem kultury i niczego złego nie zrobił. Dzięki niemu Polska była współproducentem *Blaszanego bębena*.

Przy okazji chciałbym złożyć wspierający donos na ówczesnego dyrektora „Filmu Polskiego”, młodego, inteligentnego faceta, Janka Zaporowskiego. Poszedłem do niego i powiedziałem:

– Muszę jechać na wspominki mego przyjaciela Wysockiego do Moskwy.

Spojrzał na mnie z ukosa i spytał:

– Nie mogłeś wybrać sobie czegoś łatwiejszego? Jakiś Hongkong, Tajwan, Amerykę Południową, załatwię od ręki. Akurat teraz do Moskwy? Przewiduję kłopoty.

– No, ale właśnie tam to się odbywa.

– No dobrze – usłyszałem. – Pani Jadziu, proszę pisać... rozumiesz musimy rzucić jakimś nazwiskiem, żeby wyglądało na to, że jedziesz na spotkanie z kimś ważnym.

Pomógł mi, jak tylko potrafił. Na odchodnym dodał:

– Jak mnie wyrzucą to przynajmniej będę wiedział za co.

Wyjechałem tego samego dnia wieczorem.

W Moskwie wylądowałem o zmroku. Z daleka zobaczyłem oczekujących mnie Siewę, Kolę, kogoś jeszcze. Ruszyłem w ich stronę, a oni dają mi znaki, że ktoś jeszcze na mnie czeka. Spozregłem machającego do mnie, sympatycznie wyglądającego, dobrze ubranego

mężczyznę. Wiem doskonale, kim on jest, co najmniej w randze majora. Byłem mu nawet wdzięczny, gdyż przeprowadził mnie przez odprawę celną bez najmniejszych kontroli, jak VIP-a. Okazało się, iż doskonale wie, że przyjechałem tu na wspominki po zmarłym przyjacielu. Stwierdził, że jest od tego, aby się mną opiekować, służy swoim samochodem. Upewnił się, że mam zabookowane miejsce w samolocie na jutrzejszy poranny lot, schował mój bilet i paszport:

–Żeby nie zginęły – wyjaśnił. – Na pewno sobie trochę wypijecie, bo jakże tu nie wypić na wspominkach. Ja jestem do pana dyspozycji. Jutro o 5 rano będę na pana czekał przed domem. Samolot ma pan wcześniej.

Trzeba przyznać, że wspaniale to zostało zorganizowane. Wszystko odbyło się szybko i sprawnie. Było mi to nawet na rękę, ponieważ wszędzie mnie podwiózł, a zachowywał się bardzo dyskretnie.

Wszystkie moje pobyty w Moskwie wyglądały mniej więcej tak: lotnisko, samochód, przyjęcie, czyjś dom, hotel. Zupełnie jak u Jerofiejewa w Moskwa–Pietuszki: «Wszyscy mówią „Kreml, Kreml”, od każdego to słyszę, a ja sam ani razu Kremla nie widziałem. A ileż to już razy (chyba z tysiąc razy) na bani albo z kacem Moskwę schodziłem z północy na południe, z zachodu na wschód, od krańca do krańca, i na ukos, i jak popadło, a Kremla ani razu nie widziałem». Podobnie i ja naprawdę nigdy nie widziałem Moskwy. Dane mi było poznać wielu wspaniałych ludzi, a na tym zależało mi bardziej niż na „murów pięknie”.

Ta jedna noc w Moskwie była moją pierwszą nie protokolarno–teatralno–festiwalową, lecz całkowicie prywatną wizytą w Związku Radzieckim. Przyjechałem pełen wrażeń i emocji, przecież tak wiele działo się w moim kraju. Wprost z lotniska udałem się do mieszkania Wołodi na Małą Gruzinijską. Byli tam już oba jego synowie z pierwszego małżeństwa (jeden jest aktorem, drugi scenarzystą), Marina, Demidowa, Achmadulina, Jurski, Smiechow, Jewtuszenko, Wozniesiński, Okudźawa, Michałkow i wielu, wielu innych. Zwracała uwagę zapłakana młoda dziewczyna. Okazało się, że to Lusja, telefonistka z „internacjonalnej”. To ona, kiedy Wysocki nocami poszukiwał Mariny, odnajdywała ją gdziekolwiek była i natychmiast łączyła. Zawsze. Złapała ją nawet – u fryzjera! – w Brazylii, dokąd Marina po kłótni z Wołodią wyjechała, nic nikomu nie mówiąc. Lusja i tam ją znalazła. Na szczęście. Wysocki poświęcił Lusi kilka piosenek, choć nigdy jej na oczy nie widział.

Po wspominkach na Małej Gruzinijskiej pojechałem z Mariną na grób Wołodi. Padał deszcz, było ciemno. Z Małej Gruzinijskiej blisko na cmentarz Wagańkowski. Całą drogę towarzyszyły nam nieprzebrane tłumy, tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi. Jechaliśmy bardzo wolno, Marina siedziała obok, rozpoznawano nas, ludzie się rozstępowali. Im bliżej cmentarza, tym wyraźniej widzieliśmy lunę. Płonęły wielkie ogniska. – Zobacz, z czego one są – zwróciła się do mnie zapłakana Marina. Patrząc, oczywiście, drewno. Ale jakie?! Z połamanych gitar!

Na grób Wołodi przyjechali ludzie z całego wielkiego kraju, łamali swe instrumenty i palili na stosach. Tak żegnali największego z nich.

Nie bardzo chciałem się wtrącać do dyskusji, czy pomnik Wysockiego, na który rozpisano konkurs, został słusznie wybrany czy nie. Patrząc na pomniki innych artystów na cmentarzu Wagańckim, wydało mi się, iż rzeźba, która tam stała, odpowiada raczej potrzebom tym, którzy przychodzą składać kwiaty. Mam jednak silne przekonanie, że Włodzimierz Wysocki nie należał wyłącznie do tych prostych, dzielnych ludzi. Było w nim coś z zaświatów, coś z komet, coś z gwiazd, których nie rozumiemy, ale dzięki którym jesteśmy szczęśliwi. Idea Mariny Vlady postawienia na mogile Wysockiego odprysku meteorytu z wykutym jego imieniem i nazwiskiem była najwłaściwsza. Koniec końców lud ma pomnik, a meteoryt stanął na dziedzińcu Teatru na Tagance.

W dzień po wspominkach, już w Polsce, spotkałem przypadkiem Agnieszkę Osiecką. Opowiedziałem jej, co przeżyłem, i poprosiłem, żeby napisała o tym wiersz. Dziwnie na mnie popatrzyła i powiedziała przekornie:

–A sam sobie napisz!

W pierwszej chwili zachnąłem się. Ale szybko pojąłem, że ma rację: skoro przeżyłem coś takiego, a jeszcze miałem przy tym zaszczyt być przyjacielem Wołodi, to potrafię raz w życiu stać się poetą. No i wiersz popełniłem. Jego motto:

„Jesień – na cmentarzu, gdzie leży pochowany Wysocki płoną połamane gitary.”

Pod łomot złej gitary –
nasz łomot serca! Mnie
schryplęj Nadziei, Wiary
krzyk struny nerwów rwie!
I ciągle nam niejasny
w błotnistej drodze ślad.
Nasz świat
wciąż duszny, ciasny...
Nie tak, *moj brat*, nie tak!

I z Tobą, w Twojej pogoni
własne ścigamy sny!
My, dumne wilki, konie,
a wokół nas wciąż psy!

I sfera wciąż ujada
rozproszyc pragnie nas
My wilki – różne stada
połączyć by się czas!
Dziś z naszej wilczej ziemi
własne szczerzymy kły
My gitar nie złamiemy
Sklejcie gitary – wy!

W tym wierszu próbowałem oddać nie tylko charakterystyczny rytm pieśni Wysockiego, ale także starałem się stosować podobną technikę doboru spółgłosek w słowach, wierszach, zwrotkach. Jednym słowem – chciałem się zbliżyć do jego sposobu pisania. Przyszło mi to o tyle łatwiej, że parę razy obserwowałem Wysockiego przy pracy. Pisał przeważnie w nocy. Rytm wystukiwał na kolanie lub uderzając dłonią w stół. Tak dobierał słowa, żeby w języku rosyjskim, spółgłoskowym jak wszystkie języki słowiańskie, uzyskać odpowiednie brzmienie. Zresztą te wszystkie spółgłoskowe zbitki potrafił fenomenalnie artykułować; te nasze brzydkie „ch”, „wr”, „kr”, „gr”, „sz”, „cz”, „szcz”. Śpiewał tak, że brzmiały nie tylko samogłoski – te dają śpiewność w każdym języku – ale przede wszystkim twarde spółgłoski. W gwałtownej, płonącej poezji Wysockiego nabierały one wartości, po prostu piękna. Znając swoje aktorskie możliwości Wołodia stosował je świadomie, często i perfekcyjnie. Znakomitym przykładem stosowania tej techniki jest słynna pieśń – testament prawie *Konie*. Bardzo pięknie zaśpiewała ją po polsku na festiwalu w Witebsku Maryla Rodowicz.

W swoim wierszu, jak już wspominałem, starałem się iść śladem Wysockiego. Podobnie jak on szukałem trudnych zbitok spółgłoskowych. Stąd te „gitarrrry”, „w twej”, „szczerzrzemy” itd. Chciałem, jak Wołodia, z naszego słowiańskiego języka, który niby to nie nadaje się do śpiewania, wydobyć drapieżność, rytm i piękno.

Udało nam się z Mariną Vlady namówić Miszę Barysznikowa, by włączył pieśń Wysockiego *Konie* do filmu *Białe noce* produkcji amerykańskiej, w którym właśnie miał zagrać. Nie był to może obraz szczególnie udany, choć ze względu na Barysznikowa warto go było zobaczyć. Jego niewątpliwą wartością była sekwencja, w której Misza tańczy do pieśni Wysockiego. Wrażenie było wstrząsające. Największy tancerz świata artykułuje całym sobą utwór zmarłego przyjaciela, który słyszymy fortissimo z magnetofonu, stojącego na scenie. Dziwne, niezwykle przeżycie. Uchylił się od zatańczenia *Koni* na koncercie „Artyści Rzeczypospolitej” w Filharmonii, w styczniu 1990. Był kontuzjowany. A może i dobrze, że tak się stało. Takie akademie jakoś się nie udają, mimo najlepszych chęci. Dobrze o tym wiedząc, nie umiałem kategorycznie odmówić udziału w dziesięcioleciu „Solidarności” w Operze Leśnej w Sopocie. No bo jakże! „Solidarność”, stoczniovcy, Wałęsa. I było jeszcze gorzej. Nie tylko na scenie, ale i na widowni. Mimo udziału gwiazd i szlachetnego celu impreza w Filharmonii była po prostu nieudana. Ale ta druga to już był parteitag. W celu... no właśnie... Na naszych oczach potwierdza się znana prawda. Zawsze znajdują się ludzie bić brawo. I zawsze znajdują się tacy – w sztuce, w polityce – którzy w tę swoją jedność uwierzą i bardzo dobrze się w tej roli pocują. W sztuce to się źle kończy dla jednego artysty. W polityce – dla całych narodów. A ci urodzeni wodzowie powinni pamiętać, że dla nich – przede wszystkim.

Skąd ta dygresja? Przypomniałem sobie, że Wołodia raz coś, mimochodem, o polityce rzucił. W Paryżu: „Widzisz, Daniel” – z akcentem, po rosyjsku przeciągając ostatnią sylabę mego imienia i zmiękaczając *l*. – Widzisz, tym zachodnim demokracjom nic złego się nie stanie. Bo nie jest tu możliwe, żeby narodził się kult jednostki w jakimkolwiek kolorze. Nie ma mowy, żeby ktoś odniósł w wyborach miażdżące zwycięstwo, a ten, kto by tego zapragnął, zostałby uznany za szaleńca. *Wot...*”

Ech Wołodia, ech Wołodia,
Ty nie widzisz, może szkoda,
Że ciągle ta sama jędza
Kominem nam w mózg się wkręca.
I z nią w taniec idą już
Czech i Lech, i ten twój Rus.
Przeciw czemu – nie dasz wiary
Trzeba znów stroić gitary...

Do tego wiersza gitary nie nastroił, melodii nie wymyślił. Nie zdążył.

Marinie

Nade mną lód
i w dole, pod stopami...
Czy wzbić się mam
czy zejść mam
do otchłani?

Rzecz jasna – wzbić się!
W nadziei
trwać i trwać
i tylko w świat podania
za wizami ślać!

Już słysząc
lodów szcęk,
noc mija – jedna, druga...
Ja przetrwam
czysty, prosty
choć przecie nie od pług!

A ty się nie martw! –
– wrócę!
okrętów dawnych szlakiem
Spamiętam wszystko
Wiersz widzę jak na dłoni...

Niestary jestem,
ot, czterdziestka z hakiem
przez Ciebie żyję
i dobry Bóg mnie chroni!

Ja mam co grać
gdy wezwie Pan
i przyjdzie Tam
do grania!
I mam też z Nim
tych kilka spraw
do obgadania...

To jest ostatni wiersz Włodzimierza Wysockiego. Powstał na kilka dni przed jego śmiercią, jeszcze przed powrotem do Moskwy, w Paryżu. Zanotował go na jakiejś ulotce reklamowej biura podróży. Mam fotografię tego wiersza, podarowała mi ją Marina. Przetłumaczyłem ten wiersz z pomocą Agnieszki Osieckiej, która podsunęła mi kilka pięknych metafor.

Pamiętasz, Marinko, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz po pogrzebie Wołodi, wręczyłaś mi małą urnę, w której była garść ziemi z jego mogiły i kosmyk jego włosów. Powiedziałaś

mi, że robisz to z myślą o mnie i moim kraju, tak bliskim Wołodi. Dodała: zrób z tym, co uważasz.

Po wspominkach w Starej Prochowni poszedłem nad brzeg Wisły, na który tak długo patrzył Wysocki, gdy pierwszy raz przyjechał do Warszawy. Wrzuciłem do wody zawartość urny. Wierzę, że postąpiłem zgodnie z jego życzeniem. Odrobinę tej ziemi i włosów Wołodi zostawiłem sobie na pamiątkę. Trzymam to w czarnym pudełeczku, którego wieczko tak mocno się zasklepiło, że nikt nie jest w stanie go otworzyć.

Minęło 10 lat. Cała epoka. Ileż się zmieniło, ilu przyjaciół w tym czasie pożegnaliśmy na zawsze. Marina swoje siostry. Ja, przede wszystkim, ojca. Odchodzą przyjaciele, odchodzą despoci i tyrani. Różne obrazy cisną się do głowy. Apel poległych, który czytam w Gdańsku, a tłum skanduje po każdym nazwisku: „Jest wśród nas!” Tragiczne wydarzenie w mojej rodzinie tej samej nocy. Karkołomna jazda z Gdańska od Warszawy. Na szczęście mój brat żyje, choć to cud! Euforia i dramat „Solidarności”. Stan wojenny. Mój wyjazd na Zachód. Wyzwanie – że dam sobie radę – rzucone sobie i... innym. Częste spotkania z Mariną (zawsze zbyt krótkie, moja kochana siostra). Łączy nas tyle anegdot i jeden smutek. Jacek Kaczmarski, wzruszony i natchniony jak nigdy, śpiewa u niej w domu swoje *Epitafium* dla jej męża. W domu pełnym pamiątek po nim.

Świat pędzi jak szalony, jak konie Wysockiego. Nowe sytuacje, nowi ludzie. Walą się reżimy. Stary świat, którego końca – zdawało się – nie było widać, trzeszczy jak maszt podczas sztormu. Co by dzisiaj zaśpiewał mój przyjaciel?

Jesteśmy z Mariną tego samego zdania. Gitara ciągle wibrowałaby w jego rękach. Ciągle zaklinałby mikrofon jak żmiję. Jego głos charczałby do utraty tchu przeciwko rodzącym się znów głupotom i nienawiściom. Czy są złowrogą zapowiedzią powrotu starego, czy noszą ciemne mundury „Pamięci”? „Niechaj triumf przedwczesny do głów nie uderza/ płodne jest łono, co wydało zwierza”. Jedno jest pewne – Wołodia nie poszedłby na żadną zasłużoną emeryturę. A ile jeszcze rzeczy by jeszcze w nas obśmiał. *Wot...*

Drogi Danielu, mój bracie.

Jak mi dziś smutno. Wołodia skończyłby właśnie 52 lata. Byłby w sile wieku. Gotów dosiadać koni. Gotów kpić z dorobkiewiczów. Bić się o prawdę.

Jak bardzo nam go brak!

Jak bardzo mnie go brak...

Tyle zrobił, by skruszyć tę nazbyt słynną żelazną kurtynę, a dziś nie może patrzeć na jej szczątki.

Pierwszy mówił o Warszawie – mieście konającym, duszącym się w komunizmie, a dziś nie może po niej spacerować ciesząc się jej demokratycznym odrodzeniem.

Czy nie wydaje ci się, że pewni ludzie, dla których podróż do Wschodniej Europy stała się „świętym obowiązkiem” zostaliby opisani w jednej z najbardziej przewrotnych piosenek Wysockiego?

Spróbujmy więc, drogi Danielu, uśmiechnąć się. On nie chciałby patrzeć na nasze smutne miny. Należy mu się to od nas.

Miał nie tylko niezwykły talent.

Kochał życie, miał poczucie humoru...

Dziękuję ci, że robisz wszystko, aby o tym wiedziano.

*Całuję Cię
Marina Vlady*